№ 31. Warszawa, dnia 22 Lipca (3 Sierpnia) 1878 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

BÓL SERCA BABKI.

Bywa życie bez życia... przecież jeszcze żyję,
Nie zamarło uczucie, póki serce bije.
Czasem ożywia piękno i dźwięk,
I światło nieba i barwa pól,
Rozrzewnia szczęście — przeraża jęk —
Znana mi radość i serca ból.
Czasem trwogą przejmuje i życie i świat,
Czasem ducha osłabi tęsknota i żal,
Lecz się przetrwało tyle w ciągu długich lat,
Że dusza być powinna jak hartowna stal.

Cierpieć, uczy nas życie i przykład biblijny.
Czasem budzi w mej duszy zachwyt religijny
Widok kwiatu. Lecz dla mnie najpiękniejszy kwiatek
Rozwija się przy ziemi — a nie ma trzech latek.
Najulubieńsza z wnuczek — bo ciągle przy boku,
Przy sercu i na ręku — w myśli i na oku.
Drobna, wątła dziecina, mało rozwinięta;
Lecz gdy w czarnej oprawie podniesie oczęta
I z ciemnego błękitu jasny promień rzuci,
To zda się że rozumie co ptaszyna nuci.
Że pojmuje myśl każdą w słyszanej rozmowie
Uśmiechem całą słodycz swej duszy wypowie.

W miłości dla niej tyle potęgi się mieści,
Że gotowabym ponieść największą ofiarę:
Modlę się — wierzę w cuda — lecz w chwili boleści
Zbytek uczucia mego przechodzi już miarę,
A niepokój o skarb ten, wyznaję w pokorze,
Zbuntować duszę moją na czas jakiś może.....
Grzeszna myśl — jakiej sama sobie nie przebaczę.

Dziecina moja droga, nigdy nie zapłacze,
Janka, płakać nie umie — któż temu uwierzy?
Byle jej punkt oparcia, śmieje się i bieży
W otwarte ręce co ją chwytają w objęcia.
Co za rozkosz całować twarzyczkę dziecięcia,
Ile słodyczy w takich pieszczotach się mieści?
To wypowiedzieć może tylko żal niewieści.

Jak ptaszyna na wiosnę swe piosnki urocze,
Dziecina jeden wyraz bez końca szczebiocze...
Jest z nami — będzie zawsze... Bo uchowaj Boże!
Gdyby umilkł ten głosik! Nie, to być nie może!
Gdyby zabrakło w domu anioła radości,
Życie by tu ustało — próżnia, świat nicości!...

Na co przypuszczać troski i niepodobieństwo,
Kiedy zdrowe, wesołe, szczęśliwe maleństwo.
Bialutkie, wyświeżone, uczesane ładnie,
Przyszła nadzieja matki...
Któż jutro odgadnie!
Minęło jutro... Przeszło dni trwożnych niemało,
Trzech lekarzy ze smutkiem wyrok podpisało...
Kto im wierzy? Są tacy co wierzyć nie mogą,
Czyż podobna się rozstać z istotą nam drogą?
Ja wierzę tylko w Boga z całem zaufaniem,
Taka modlitwa zwie się powolnem konaniem,
Wysila ale wzmacnia — podtrzyma w uporze,
Zapominam co było i co stać się może.
Mija chwila złudzenia, znów przeczucie trwoży,
Znowu rozpacz i boleść, z każdą chwilą gorzej.
Niewinne dziecię nasze z tak pogodnem czołem,
Musi być męczennicą, nim będzie aniołem.
Zabijający widok cel modlitwy zmienia,
Bóg zmusza błagać Siebie o koniec cierpienia,
Nie mogły wrócić zdrowia nasze łzy i jęki,
Lecz wysłuchana prośba o skrócenie męki...
Jest więc od samej śmierci coś gorszego jeszcze;
Życie — kiedy się spełnią przeczucia złowieszcze.

W biały wianuszek ubrana Janka,
Moja pieszczota — moja kochanka!
Z innego świata blaskiem promienna
I uśmiechnięta i niby senna...
W białą sukienkę, stokrotki strojna,
Taka szczęśliwa, cicha, spokojna...
Chociaż tak zimna, w ciepłej pościeli...

O wiem już jacy w niebie anieli!
Jakie postacie między świętemi!
Takiej piękności nie ma na ziemi.
Chcesz ideału szukać na świecie,
To wpatrz się mistrzu w umarłe dziecię...

Lecz wzrokiem moim gdy spojrzysz na nią,
Ostre sztylety serce ci zranią,
Duszę ci szarpać będzie ból srogi,
Świat ci się wyda smutny, ubogi,
Życie zapełni głęboki żal...
I obojętnie popatrzysz w dal.

A biedna matka? O wielki Boże!
Biedniejsza od nas, płakać nie może,
Gdy się początek nieszczęścia wszczął
Wyrzekła tylko: „Bóg dał i wziął.“

Tam gdzie już tyle łez naszych wsiękło,
Nie idzie płakać — serceby pękło!

Jak ją karmiła w nocach bezsennych,
Jak jej służyła w trudach codziennych,
By pielęgnować ten szczęścia kwiat,
Tak do ostatka jak dobra matka,
Wyprawia dziecię na lepszy świat.

W daleką podróż wszystko sposobi,
I z gorączkowym pospiechem zdobi
Śliczną trumienkę w weselny strój.
Grobowy napis sama układa,
Choć drżąca ręka piórem nie włada,
Siły odjęły troska i znój.

Łatwo się modlić gdy wszystko cieszy,
W słodkiej modlitwie każdy z nas spieszy,

Dziękować Stwórcy za tyle łask.
Nic tak ku Bogu nie zbliża ludzi—
Nic takiej silnej wiary nie budzi,
Jak radość w duszy i szczęścia blask.

Osłabia ducha — lada cierpienie,
Ostudza wiarę — lada zwątpienie,
Zrozpacza — drogiej istoty grób.
Lecz biedna matka w żalu bez miary
Modli się ciągle — nie traci wiary!
Bóg widać żąda podobnych prób.

Czem ją pocieszyć? Miłe twe dziecię,
Szczęśliwsze w niebie niż tu na świecie,
Bezpieczna matko o córki los,
Nie będzie wiedzieć o życia męce,
Ni w złego męża oddasz ją ręce —
To ci złagodzi bolesny cios.

T. R.

Obrazki Warszawskie

ułożone w trzech tomach

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza

ofiarowane

Autorce Kroniki zagranicznej w Bibliotece Warszawskiej.

(Dalszy ciąg).

Po opuszczeniu pomieszkania Głowacza, Stanisław schodząc ze schodów nucił wesołą piosenkę a Jan szedł za nim jak ofiara na rzeź prowadzona.

— Wyborny ten Głowacz, rzekł Stanisław biorąc Jana pod rękę. Lubię go bo zapalny i aby tylko troszkę dmuchnąć zaraz bucha płomieniem. Raz z Łepakiem to Bolesławowi mało oczów nie wydrapali.

— Ależ wygadany, szepnął Jan, a to co mówi... jakoś...

— Co on tam baje, przerwał Stanisław, to mnie nic nie obchodzi, tylko zajmuje jego rzucanie się jak opętańca. Gdyby chciał kiedy wystąpić w teatrze zrobiłby prawdziwą furorę. Zawsze to jednak głowa prawdziwego Głowacza. Co to w niej pomysłów a każdy patrzy w dukata jak żółw w jaja. Prawdziwy z niego czystej krwi pozytywista. Co grosza nie przysparza niewarte u niego i kłaka siana. Lubię go, bo mnie bawi swoją szarpaniną wszystkich i wszystkiego, czy to jest jasność, wielmożność lub przewielebność, czy z wieków wyrosła mrzonka przed którą ludzie chylą głowy a nawet kolana. Miałeś małą próbkę jego zapalczywości, nazywają ją niektórzy zajadłością wielce jakoby szkodliwą, ale to mnie nic nie obchodzi. Bawię się nią a to więcej warte jak wszystkie sążniste rozprawy o tem co jest, będzie lub było. Życie o tyle dobre o ile jest śmieszne i wesołe, a z Głowacza jak pluje na ludzi i ich sprawy to się nieraz tak ubawię, tak uśmieję, że aż mnie boki bolą. Humorysta to pierwszej wody jak brylant najcenniejszy.

Jan chciał zrobić uwagę, że dowodzenia Głowacza nie bawiły go ale przerażały, że słuchając jego wywodów zdawało mu się nieraz, że go coś dusi, że tonie bez ratunku i leci w przepaść bez dna, ale nie miał odwagi wystąpienia z tem co migało w duszy jego jak mig błyskawicy na chwilkę oświetlający ciemności. Porywy były w nim dobre, często zbawcze i samodzielne, ale bierność brała zawsze górę, a do opierania się jej nie był przyzwyczajony. Gdy więc umilkł Stanisław, milczał i Jan czując że mu szumi w głowie, rozsadza ją, rozpiera; radby był myślom nadać inny kierunek ale brak mu było do tego racyonalnej podstawy, która jakkolwiek nie ulega bezwarunkowo przekonaniom w przepisy obowiązujące zamienionym, umie jednak z pod naleciałości ziemskich wydobyć prawdy i dostrzedz w nich zgodność z poczuciami własnej duszy, wlanemi z góry razem z życiem a będących jego uszczęśliwieniem.

— Teraz pójdziemy do Filozofa, odezwał się Stanisław nie myślący nawet o wrażeniach spadłych na Jana. Filozof trochę zatrąca Łepakiem i Głowaczem ale zupełnie w inny sposób. Oni warczą jak brytany na łańcuchu, ten znów wyje jakby przeczuwał zarazę. Tamci pienią się i huczą jak grzmoty, ten jęczy i we łzach się rozpływa. Zabawny jest ale nie rozśmiesza jak Łepak albo Głowacz i zwykle milczący i ponury potrzebuje bodźca aby się rozczmychał. Kolnę go ostrogą jak konia bez ognia a wyprawi nam lament z którego wyciśniemy choć trochę śmiechu jak soku ze zgniłej cytryny. Będę mu przeczył to go rozpali.

Jan chciał skończyć wędrówkę: poznanie z Głowaczem już go po części dławiło, nie miał więc ochoty na nowo przechodzić przez to co przebył, ale jak tu odrzucić przyjacielską przysługę krewniaka tak zgodną z pragnieniem które go do Warszawy sprowadziło. Poszedł więc ale z cichem westchnieniem, ze zwieszoną smutnie głową.

Młody człowiek, przezwany Filozofem, dość delikatnej budowy ciała siedział na kanapie trzymając książkę na kolanach, której czytanie przed chwilą porzuciwszy zdawał się być pogrążonym we własnem dumaniu. Urządzenie mieszkania złożonego z dwóch pokoików było skromne ale dostatnie, świadczące o pewnej zamożności właściciela. Kiedy weszli nasi znajomi do pokoju, Filozof miał cokolwiek przymknięte oczy, tak że na pierwsze spojrzenie nie wiadomo było czy śpi czy czuwa. Pomimo dość hałaśliwego ruchu przybyłych, nie poruszył się tylko spojrzenie ku nim skierował.

— Śpi widzę, odezwał się Stanisław, zatrzymując przy progu. Jakże nierozważny zostawiając drzwi niezamknięte.

— Nie, nie śpię, odezwał się Filozof, tylko mając krótki wzrok nie mogłem cię Stanisławie odrazu poznać.

— To też to całe nieszczęście, że mając krótki wzrok widzisz na krótką metę, ale przedstawiam ci mego krewniaka Jana, którego poznając z naszą młodzieżą sprowadzam wreszcie do ciebie, abyś obdarzył go swoją przyjaźnią i ułatwił zaznajomienie się ze zdobytą wiedzą, jakiej łaknie zapalczywie jak wilk barana głodem i zimnem wycieńczony.

— Bardzo mi miłą będzie bliższa znajomość, odrzekł Filozof podając rękę i podsuwając krzesełko, ale cała wiedza ludzka to mała kropelka, a ja z tej kropelki zaledwie małą cząstkę przyswoiłem sobie....

— Ba! ba! ba! wiedzą siedzi jak kto siedzi, mruknął Stanisław, wiem ja dobrze z kim Jana mam zaznajamiać. Skromność twoja przesadzona...

— Nie, mój Stanisławie, to nie skromność ale głębokie przeświadczenie, przerwał gospodarz, bo cóż wiedza zdobyła w świecie ducha, którego nawet hypoteza bytu nie umiała dotąd w pewnik naukowy zamienić?

— Co też mówisz! Człowiek jak ancychryst pędzi parą po żelaznej drodze, rozmawia elektrycznością przez oceany, lata jak ptak balonami, rozprawia o gwiazdach jakby zajeżdżał do nich jak do austeryi, a ty twierdzisz że wiedza nic nie zrobiła?

— To zdobycze czysto materyalnej natury, a gdzież duchowe?

— A mnie co do nich? zawołał Stanisław. Mieszkając na ziemi myślę o niej i nią się jedynie zajmuję, a reszcie pokazuję figę i puszczam w trąbę.

— Tak, to prawda, że na nieszczęście mieszkamy na ziemi...

— Na nieszczęście! przerwał Stanisław, gdy na niej tyle pięknych buziaków! Co też bajesz? Przy pieniądzu mój bracie ziemia to raj, który z pewnością cały zasłany był dukatami.

Filozof uśmiechnął się smętnie, a Stanisław trącił Jana i mówił dalej:

— Tak mój Filozofie, ziemia to raj ale dla pieniężnych, dla galileuszów to padół płaczu, nędzy i zgrzytania zębów.

— Pieniądz, pieniądz, powtórzył Filozof, toć nigdy na brak jego nie narzekam i mam go więcej jak rzeczywiście potrzebuję...

— Masz więc wszystko, cały świat ze wszystkiemi uciechami stoi przed tobą otworem, najpiękniejsze buzie obdarzą cię uśmiechem, najśliczniejsze usta roztworzą się pocałunkiem, najzgrabniejszą kibić obejmiesz uściskiem, stół twój zastawią napojami godnemu bogów, półmiskami przysmaków z materyałów choćby przedpotopowych: najdowcipniejsi, najweselsi i najrozumniejsi ludzie będą twymi towarzyszami, godownikami, śmiech z ust ci nie zejdzie, radość z serca, gdzie się zwrócisz nowa przyjemność, nowa uciecha i czegóż tu żądać można?

— Rzeczywiście nic, a raczej małej rzeczy, tylko... wszystkiego...

— Bajki! Sprobuj a przekonasz się.

— Sprobowałem! z większą już mocą odezwał się Filozof, a Stanisław szepnął nieznacznie do Jana:

— Oho! już teraz jest na równej drodze i poleci jak kula armatnia.

— Tak, sprobowałem, mówił Filozof, używałem wszystkiego co tylko zapragnąć można, i wprędce wszystkiem przesyciłem się. Załaknąłem rozkoszy moralnych, szukałem serca kochającego i znalazłem kłamstwo, zamiast uczucia kuglarstwo, zamiast serdecznej życzliwości łamańce akrobatyczne. Gdziem się zwrócił wszędzie mi szych podawano za złoto, udanie za szczerość, kłamstwo za prawdę, maskę za rzeczywiste oblicze, strojąc je w łzy i uśmiech, w przymilenie i zapał, wedle chwilowej potrzeby, aby tylko odrwić a potem wyszydzić. Świat wydał mi się tak nędznym a ludzie na nim takimi wybierkami, że zajmowanie się tem wszystkiem byłoby nietylko nędzną farsą ale podłą a nawet nikczemną.

— A co? mruknął Stanisław do Jana trącając go z tłumionym uśmiechem. Kolnę go jeszcze lepiej niech pędzi póki mu sił nie braknie.

Filozof zwiesił głowę i dumał: Stanisław zerwał się z siedzenia i szastając w ukłonie rzekł:

— Jako jeden z owych nędznych wybierków zdatnych jedynie na aktora w farsie podłej i nikczemnej, składam ci dostojny filozofie podziękowanie.

— Nie ma prawidła bez wyjątków, odrzekł młody gospodarz, którego policzki zwykle blade i mało ożywione, mało rumieniły się i drgały życiem.

Wyjątków tych mogą być setki albo tysiące ale to stanu rzeczy nie zmienia. Ludzkość jest nędzną powtarzam, niewarta jednej nitki konopnej ze stry-

czka na którym godna zawieszenia: ci co to czują i pojmują to prawdziwi męczennicy, z których żywcem drą pasy ze skóry...

— Ale za to świętymi zostaną, przerwał Stanisław i z pasportem pójdą prosto do nieba, i znowu trącił Jana ze znaczeniem.

— Ty żartujesz z tego, odezwał się Filozof, ale ja nigdy nic nie odrzucając postanowiłem wszystko wypróbować...

— Bardzo rozumnie, zawsze tak robię przy każdym napitku i żadnym nie gardzę.

— Zwróciłem się więc, mówił dalej Filozof, nie zwracając uwagi na zrobioną przerwę, do idei czysto duchowej, ale znalazłem ją tak okopconą głupotą ludzką, przez tak nieczyste pielęgnowaną ręce, że...

— Puściłeś ją w trąbę? domówił Stanisław ze śmiechem. Wybornie! ja to już dawno zrobiłem i wygodnie mi bez tego niepotrzebnego ciężaru. Życie i jego ideały w bankietach jakiemi nas darzą, nie znoszą hamulca!

— Przywołałem więc naukę, zagłębiłem się w jej zdobyczach, mówił dalej Filozof, poświęciłem się nowej pracy, szperałem, gmerałem, porównywałem, rozważałem i wreszcie przyszedłem do przekonania, że całej wiedzy ludzkiej przypisują znaczenie na które wcale nie zasługuje, bo nic nie wie z tego, co dla człowieka jest najniezbędniejszem, co go niepokoi i robi podobnym do trzciny miotanej wichrem bez żadnej osłony...

— Puściłeś więc i ją w trąbę! Tak samo i ja zrobiłem, przerwał Stanisław. Alchemicy to mi byli ludzie, bo szukali eliksiru wiecznej młodości i robienia dukatów holenderskich z czystego złota. Otóż to mi był prawdziwy pozytywizm, kocham ich, ale dzisiejsze ciemięgi pletą trzy po trzy, bają, majaczą, i każą korzyć się przed mądrością nauki, która nawet tego nie umie wytłomaczyć, dla czego kształtna kibić młodej kobiety tak nęci i przyciąga gdy przygarbiona i opuszczona odpycha i wstręt budzi? Jest to kwestya prawdziwie pozytywna, zaprzątam się nią dawno i rozbiorem jej mógłbyś się zająć kochany Filozofie.

— Jakże ci zazdroszczę, po chwili milczenia odezwał się Filozof, wiecznie dobrego humoru który cię nigdy nie opuszcza.

— Nie zazdrość braciszku, rzuć książki w piec, jedz dobrze, pij nieźle, kochaj się powściągliwie i rozważnie, żyj zawsze w wesołem towarzystwie, myśl tylko o obecnej chwili, przeszłość kopnij jedną nogą, przyszłość drugą, a będziesz jakim ja jestem, wesołym, swobodnym i żartobliwym.

— Gdybym mógł, jakżebym cię pragnął naśladować, odparł z ciężkiem westchnieniem Filozof. Ale jak tu śmiać się, jak weselić, kiedy gdzie człowiek zwróci się, same niepewności, wątpliwości a nigdzie wsparcia radykalnego, nigdzie rady niewzruszonej coby się nie lękała zaprzeczenia. Człowiek w tym ciemnym labiryncie błąkając się, wątpi o wszystkiem, o wszystkich uczuciach, porywach najszlachetniejszych, nieraz mimowoli przekonywa się, że niczem więcej nie jest tylko machiną, w której funkcye odbywają się jak w automacie i lada chwila ustaną jak tylko pęknie sprężyna ruch im nadająca.

— Wszystko to mnie nic nie obchodzi, odezwał się Stanisław powstając do odejścia. Czy to machina, czy klatka z ptaszkiem, czy to czy owo, to rzecz podrzędna i wiedząc że żyję boć się ruszam, chcę czuć to życie, wszystkiem co główną treść jego stanowi.

— Treść? powtórzył smutnie Filozof. Gdybyśmy ją znali, cel byłby jasny i stałby się pochodnią na bezdrożach które przebywamy. Nie znając jej jesteśmy wędrowcami... błąkamy się, kręcimy jak wiewiórka w klatce kroku naprzód nie postępując. Za nami nieświadomość, kłamstwa i domysły: w obecności błąkanina bez wyjścia, przed nami... nicość, którą zna tylko retorta chemiczna pokazująca jasno, że świat to tylko wielkie laboratoryum przerabiające bez końca pierwiastki raz wrzucone w nie przez siły natury...

— Przyznasz jednak mój Filozofie, przerwał Stanisław śmiejąc się, że przeróbki te smaczne i ponętne. Kiedy się wpatruję w piękne oczy, zapijam szampeta, kraję pasztet z truflami a żartem i śmiechem podsycam strawność czasami zbyt leniwego żołądka, to owo tak pogardzone przez ciebie laboratoryum uściskałbym choć jest nijakiego rodzaju...

— Jakiż wyborny z ciebie typ niedbałości, odezwał się z westchnieniem Filozof, którą możnaby nazwać najwyższą mądrością, gdyby czas zatrzymany w biegu nie wyciskał na wszystkiem śladów swego przechodu.

— Oj! gdyby to gdyby, ale na wszystko jest sposób..

— Tymczasem razem z ciałem wszystko się starzeje i okrywa mgłą niewyraźnych wspomnień, aż wreszcie i one nikną i w nicość się rozpływają. Miałem matkę kochaną, ojca rozumnego... pamięć ich dziś ledwo już jest śladem, wszystkie uczucia przez nich wszczepione, wszystkie instynkta rozbudzone, czemże się stały? Nicością. Wszystko co przy ich pomocy drgało we mnie życiem, przebrzmiało jak akord najpiękniejszej harmonii i dziś pustka... przerażająca.

Stanisław nagle spoważniał: wspomnienie rodzicielskiej opieki, tak czułej i pełnej miłości, podrażniło go. Zerwał się też, przeszedł po pokoju cokolwiek zaniepokojony i nadziewając rękawiczki rzekł:

— Wszystkim uczuciom kochany Filozofie, instynktom i innym podobnym fraszkom, pokaż figę i daj za wygranę. To psuje porządek i rozstraja, pocóż więc kłaść głowę pod młot rozmyślań, który może ją rozbić a nie wprawi ani jednej klepki jeśli jej braknie.

— Zapewne, byłoby to może najpraktyczniej iść za twoją radą Stasiu kochany, ale gdy rozstrój wewnętrzny przyjdzie do ostateczności...

— A niechże cię gęś kopnie! przerwał Stanisław wracając do swego zwykłego usposobienia. Przy tobie mój Filozofie możnaby zwaryować a ja pragnę przytomny wrócić do domu. Bądź zdrów mój myślicielu bez wyjścia. Gdy z teoryami swemi nie będziesz mógł wytrzymać i zapragniesz praktycznego rozwiązania gnębiących cię niepewności, przyjdź do mnie wyładowany dobrze banknotami, a węzeł gordyjski pęknie i tryśnie z niego życie, które się do ciebie uśmiechnie jak tęcza po potopie.

Pomimo jednak tego zwrotu do lekkiej, wesołej rozmowy, Stanisław był zły i niezadowolony.

— A to czysta trucizna, dżuma azyatycka! mówił do Jana wybiegłszy z pomieszkania. Jeszcze nigdy nie był taki choleryczny! Przy nim możnaby dostać obłędu, zwaryować nawet. Gdybym przewidział takie rozklepanie jego głowy, anibym spojrzał nawet na jego mieszkanie. Dawniej śmieszył, dziś głupstwo swe posunął do ostateczności, po którem aż mnie zanudziło.

— Rozumnie jednak gadał, odezwał się Jan. Głowacz...

— Tak, to prawda, przerwał Stanisław, że gadał ale nie mówił, ciekawym co w nim dostrzegłeś rozumnego?

— Głowacz to zdolna głowa, tylko jakoś... za gwałtowny. Filozof spokojniejszy, czuje się przy nim smutek... zdawało mi się czasami ze zamieram... że...

— Ho! ho! kochanku, przerwał Stanisław, widzę że cię oczadził nasz mędrzec na starca pozujący. Myślałem że się zabawisz jego lamentem a ty widzę wpadłeś jak on na drogę zupełnego ogłupienia. Janeczku kochany pilnuj się, realność weź w pomoc a wszystko resztę, jak to już powiedziałem Filozofowi, puść w trąbę, pokaż jej figę i wywieś język choćby do pasa.

— Gdybym to mógł zrobić...

Stanisław podniósł ramion.

— Zmęczyłeś się, rzekł, i pewno jesteś głodny?

— Troszkę jestem rzeczywiście zmęczony i troszkę głodny, ale myśląc o tem co słyszałem...

— A tobie co po takiem myśleniu? Adoptowany syn bogatego stryja, nie powinien się zajmować podobnemi bzdurstwami. Poznawszy wszystko co krąży we łbach naszej inteligencyi, mając materyał do popisu i pokazania się w świecie, zajmuj się jedynie przyszłym planem urządzenia majątku który cię czeka, wyciskania z niego jak największego dochodu i użycia go jak najpraktyczniej, żebyś umiał zawsze łaknąć, sycić się a nigdy nie przesycić. Oto moja filozofia, jedyna i najrozumniejsza....

— Uciechy życia nie nęcą mnie tak bardzo...

— Co, co, co? wrzasnął Stanisław zatrzymując się i wpatrując w Jana. Tyś widzę na prawdę wygłodzony albo chory. Ale bądź spokojny, załakniesz ich to już rzecz moja. Przez te dnie za wiele czytałeś i rozmyślałeś a za mało żyłeś, popsuła się więc równowaga. Najlepiej książkę rzuć, przez ten czas nauczyłeś się tyle, że ci to wystarczy już na całe życie...

— To prawda, że nauczyłem się już wiele, potwierdził Jan z niejaką pewnością siebie, tylko radbym dojść do jakiegoś pewnego końca....

— Końca? powtórzył Stanisław. Ho! ho! braciszku nie znajdziesz go w książce tylko w życiu mnie naśladując. Te wyskrobiny naukowe i ja zajadałem jak poskrobki z garnuszka po śmietance, ale jak mi się tylko zakręciło w głowie, porzuciłem uczone brednie i stałem się takim jak mnie widzisz: wesołym, zaradnym używającym jak pszczoła co nie przepuści żadnego kwiatka aby się z niego słodyczy nie napiła.

W domu zastali Mieczysława wybierającego się na wieczorny traktament do panien Mikłockich: Maciuś czyścił sobie buty i pośpiewywał pilnując chustki aby dobrze przyciskała podwiązane nią faworyty.

— Jak się macie chłopaki! krzyknął Stanisław drzwi szeroko otwierając. Żyrafka wybiera się widzę na służbę a Pączek kochany elegantuje na jakieś balowe zebranie. Cieszy mnie bardzo ta dbałość wasza o wypasik bez kosztu....

Mieczysław mruknął i spojrzał marsowo na Stanisława, bo nie lubił podobnych przytyczków: Maciuś zaś odburknął:

— Ty myślisz że każdy jest jak ty lampartem szukającym zdobyczy...

— Pączku kochany, zawsze odzywaj się dopiero po naszym uczonym. Gdy on milczy to potwierdza, tyś nie uczony pogróź więc buzi palcem żeby milczała.

Maciuś wziął się na nowo do butów, a Mieczysław stanął przed lustrem rozczesując włosy.

— Ale powiem wam nowiny, mówił dalej Stanisław, zebrane w naszej wycieczce dzisiejszej.

Mieczysław zwrócił się od lustra, Maciuś podniósł głowę.

— Ostrożnie sędzio kochany bo się zwichniesz i nosem będziesz mierzył w pięty a tyłem głowy patrzył w Klarkę. Byłoby to trochę za estetycznie...

— U ciebie już wszystko zwichnięte, przerwał Maciuś, a jednak rubla wszędzie przewąchasz jak taks trufle...

— A sarnę jak ogar, dołożył Mieczysław.

— Wybornie moje chłopaki, zawołał Stanisław śmiejąc się. Otóż w nagrodę waszego dowcipu powiem wam nowiny: że Łepak wydyrdał z domu oparzony warem małżeńskiej szczęśliwości. Głowacz wściekł się, a Filozof zwaryował na piękne.

— Ej! mruknął Maciuś, oni już dawno byli waryatami, a Łepak...

— Daj pokój Maciusiu, bo choćbyś wspiął się na palce nie dojdziesz im głową i do kolan...

— Przesadzasz Lamparcie, odezwał się Mieczysław niechętny każdej pochwale nie jego dotyczącej. Łepak to głupiec a najlepszym dowodem wybór żony jaki zrobił....

— Prawda, prawda; ty Żyrafko będziesz ostrożniejszym...

— Głowacz, mówił dalej Mieczysław udając że na zrobionę uwagę nie zważa, to waryat i nic więcej. Zdaje mu się że światem mogłby rządzić a tymczasem nim rządzi Łepak jak wiatr chorągiewką. Filozof to ciemięga rozmazgajony jak dziecko któremu dać nie chcą cacka do zabawki...

— Prawda, prawda, jak siebie kocham, doskonale go porównałeś do bębna co się napiera szybki z okna a kafelka z pieca. Wszystko to głupcy wierutni!

— Tak jest, potwierdził Mieczysław, znam ich dobrze, wiem co umieją i jaki zapas ich naukowej wiedzy. Zdaje im się że wszystkich rozumem przewyższają, a to po prostu powiedziawszy.,. głupcy i nic więcej.

Mieczysław podniósł ramion wzgardliwie, Stanisław parsknął śmiechem a Maciuś zapytał zwracając się do Stanisława i Mieczysława:

— A wy czem jesteście? Nie wiecie? To ja wam powiem choć nie jestem uczony jak rabin ani wygadany jak sroka ..

— Mów, Pączku kochany, mów, przerwał Stanisław, przypieprzamy ci nieraz to ty nam przysól choć jeden razik...

— Nie idzie mi tu o przysalanie, bo mówię poważnie...

— Maciuś poważny! zawołał Stanisław klaszcząc w ręce. Brawo! słuchajcie, słuchajcie!

— Tak, mówię poważnie, że nie jesteście niczem więcej tylko tem czem oni a nawet gorzej.... jeszcze.

Maciuś umilkł, Mieczysław uśmiechnął się z politowaniem a Stanisław mruknął do Jana:

— Pączek ma słuszność, Żyrafka... mówiąc między nami... to mędrzec przez wielkie O, najwyższego stopnia.

Jan zrobił wielkie oczy. Gdzież więc ten rozum, owa nauka, zdolność, prawda której szukał, jeżeli każdy uważa się za mędrca, potakuje drugim, a w oczy drwi z nieobecnych, lekceważy ich, wyszydza, i za oczami wszystkich ma za głupców nawet tych którym przyznawał zalety? Jan nie umiał na to sobie odpowiedzieć.

(d. c. n.)

WIEDEŃ I ŻYCIE WIEDEŃSKIE.

PRZEZ

Wiktora Tissot.

(Autora słynnej „Podróży do kraju miliardów".)

Streszczone przez J. B.

(Dalszy ciąg).

Wszyscy rozbójnicy i złodzieje mają kochanki, które nie będąc złodziejkami z rzemiosła, nie szanują przecież cudzej własności. „Nie dawno mieliśmy tu jedną z takich kobiet, rzekł mi nadzorca; była kochanką zbrodniarza na którego sumieniu ciężyły trzy morderstwa, i tak pyszniła się reputacyą swego ulubieńca, iż stroiła się nadzwyczaj pretensyonalnie i nawet mówić nie chciała ze swemi towarzyszkami."

Gdzie tylko pod jednym dachem znajdują się mężczyźni i kobiety, tam miłość zakrada się z łatwością.

I w więzieniu zawiązują się czułe związki a przeszkody dodają im siły. Zakochane pary kłócą się z sobą, sprzeczają, przebaczają, a zazdrość i niewiara wydarza się tak samo jak na wolności. Często w wstrętnym przybytku zawiązują się zgubne związki które śmierć dopiero rozrywa. Pewien więzień austryacki, opowiada w swych *Pamiętnikach*, że we więzieniu w którem siedział był przywódzca rozbójników skazany na sześć lat więzienia i jakaś dość ładna kobieta, głośna ze swego zuchwalstwa i odwagi, także na lat sześć skazana. Aresztant i aresztantka zaręczyli się nie znając się wcale. On zachwycony był jej śmiałością i energią, ona miała sobie za największą chlubę zostać żoną „słynnego rozbójnika." Korespondowali z sobą wyrażając się z jak największą grzecznością i serdecznością. Rozbójnik zazwyczaj zaczynał listy swoje od wyrazów; „Szanowna pani" nazywał ją „kochanym aniołkiem" „dobrą gołąbeczką" i t. p. ona zaś tytułowała go: „najszanowniejszym panem" unosiła się „nad jego wzniosłym charakterem" nad „szlachetnością i wspaniałomyślnością serca" i gdy tylko zostali wypuszczeni na wolność już się nie rozłączyli.

Nie trudno jest zawiązać tajemną korespondencyą w więzieniach, gdzie kobiety i mężczyźni znajdują się tak blizko siebie i przechadzają się po jednym dziedzińcu. Więźniowie chowają listy swoje pod kamienie, oto jeden z nich znaleziony raz przed godziną w której chodzą kobiety:

Najdroższa panno Lizo

Dziś odebrałem piorunującą wiadomość że dom ten opuszczasz; życzę ci wszelkiego szczęścia, winszuję że oddalasz się z miejsc które są prawdziwym grobem niewinności... A ja jeszcze sześć tygodni przebyć tu muszę!... Mam nadzieję że znajdziesz sposób upewnienia mnie że mnie zawsze kochasz i czekasz na mnie. Udaj się na ulicę Krzyżową, do mego ojca, przyjmie cię dobrze: powiedziałem mu że ciebie tylko jedną chcę pojąć za żonę. Przekonasz się niebawem że jestem uczciwy człowiek, i że mam sposób ustrzymania. Pisz do mnie aby mi osłodzić moje nieszczęście.

Wierny do grobu
„Twój Karol."

P. S. Nie słuchaj i nie wierz niczemu co ludzie mówić ci o mnie będą. Wszystko to kłamstwo i potwarz; bądźmy wyżsi od złych ludzi.

„Uwielbiam cię! bywaj zdrowa!"

Nadzorca prosił abym zszedł na dół zobaczy kuchnie oraz cele skazanych na śmierć.

— Wejdźmy najpierw do kuchni, gdyż właśnie wydają obiad, rzekł mi.

Byłem pewny że wprowadzi mnie do ponurej i zadymionej izby, gdzie w starym, okopconym kotle warzy się jakaś zielonawa zupa z grochu i z kartofli; to też zadziwiłem się niewymownie stanąwszy na progu wielkiej i pięknej izby, jakiej nie jeden pałac mógłby pozazdrościć. Około olbrzymiej, połyskującej czystością kuchni angielskiej, wesołe kucharki przyprawiały jakąś apetyczną zupę i krajały plastry soczystej cielęciny i wołowiny. Wszystko to odbywało się pod okiem olbrzymiego kuchara w białym fartuchu, skłonił nam się z powagą, jak przystało na dostojnika tego wzrostu i tuszy i tak ważne zajmującego stanowisko.

— Cóż dziś jest na obiad? zapytałem.

— Oto masz pan kartę.

— I nadzorca podał mi arkusz papieru założony w drewnianą ramkę; pod rubryką *Śniadanie* wyczytałem: kawa ze śmietanką, mleko gorące, zupa z chleba; w spisie obiadu było dwadzieścia jedna potraw. Pod nadpisem *Podwieczorek* stało: kawa, mleko, ser, zimne mięsiwa, a wolno jeszcze było więźniom kupować sobie na kolacyą zupę, mięso i jarzyny.

— Ależ to nie więźniów ale *pensyonarzy* tu macie! zawołałem zdziwiony, przebiegając oczami spis win pierwszo i drugorzędnych gatunków i czytając ceny różnych piw.

— Jadłospis jaki panu podałem, nie obejmuje zwykłej strawy więźni, służy on nie dla skazanych ale dla oskarżonych, mogą jednak korzystać z niego i osoby odsiadujące areszt, jeśli mają odpowiednie fundusze. Przyaresztowani nie mogą nawet zawłasne lub zarobione pieniądze, kupować nic więcej jak: masło, słoninę, ser, mleko, kawę, pieczeń zimną albo szynkę, piwo i wino.

— A jakaż jest codzienna strawa skazanych?

— Dostają codziennie pięćset sześćdziesiąt gramów chleba; rano pięć i pół decylitrów zupy, a w południe znów pięć decylitrów zupy z jarzynami; wieczorem trzy i pół decylitrów zupy. Dwa razy w tydzień daje im się mięso wołowe pieczone lub gotowane, a w dnie świąteczne otrzymują podwójne porcye.

— Ileż godzin dziennie pracują?

— Jedenaście. Od południa do pierwszej, obiad; od pierwszej do drugiej przechadzka po dziedzińcu.

Naczelny kucharz nie chciał pozwolić abym wyszedł nie skosztowawszy zupy i pieczystego, a potem pokazał mi księgę w której minister sprawiedliwości zaświadczał, że podczas ostatniej co tygodniowej bytności swojej, żywność skazanych była dobrze przyrządzona.

Jakiż to rażący przeskok od owego czasu, kiedy samo wspomnienie więzień austryackich, każdego przejmowało dreszczem! Nadmiar złego wywołał nadmiar dobrego, i dziś areszt tak osłodzony wygodami materyalnemi prawie przestaje być karą. Lecz ztąd znów wywiązała się ta niedogodność, że bardzo wielu przestępców zaledwie wypuszczonych, stara się powrócić jak najprędzej do tej kapui kodeksu karnego.

Wyszedłszy z kuchni, obróciliśmy się na prawo gdzie jest oddział skazanych na śmierć.

Nie ma tu nic ponurego ani grobowego; korytarz jest szeroki i czysto wybielony, a przez szerokie okienka w górze, światło wpada niby kaskada jasności spadająca ze szczeliny nieba.

Te przedpokoje szubienicy, nie są to bynajmniej jakieś komórki lub przegrody, ale zwykłe smutne cele więzienne:

— Obiecałeś pan pokazać mi Hackler'a, rzekłem do nadzorcy.

— Oto jego cela, odsuwając małe okienko; spojrzał przez nie, potem odsuwając mi się, dodał: Siedzi na łóżku.

Zobaczyłem człowieka przysadkowatego, z grubą szyją, twarz jakby zarazem zwierzęcia i idyoty, czoło wązkie, głupowate, płaskie, zdradzające zaciętość i upór. Martwym i bezmyślnym wzrokiem patrzył na towarzyszy, którzy kredą narysowali warcabnicę na podłodze i leżąc na brzuchu na ziemi, grali grochem zamiast warcabów.

— Kiedyż będzie jego egzekucya.

— Podobno jutro.

— A więc do widzenia, rzekłem odchodząc.

XVIII.

Cały Wiedeń zajmował się Hackler'em; wszelkie nowiny, nawet polityczne, zeszły na drugi plan; wiedziano że cesarz odrzucił jego odwołanie się do łaski i codziennie tłumy gromadziły się przed więzieniem, w nadziei że usłyszą odczytanie wyroku skazującego go na śmierć. W tym tłumie publiczności nie dopatrzyłem ani śladu litości, jaką kilka miesięcy temu obudził Francesconi.

Czułe Wiedenki opłakiwały śmierć tak młodego i pięknego chłopca.

Jak tylu innych, Francesconi trawiony był żądzą złota, a nie mając o czem robić spekulacyi giełdowych, ściągnął do siebie nieszczęśliwego listonosza napisawszy sam do siebie list z przesyłką; przybyłego zamordował nożem poczem zrabował wszystko co tenże miał przy sobie. We dwa dni później ujęty został w Klagenfurt u swej narzeczonej, poczciwej dziewczyny, która nie wiedziała o niczem i nawet występnemu i ukaranemu śmiercią pozostała wierną.

Francesconi był prawie bohaterem nowoczesnego romansu, Hackler prostym wstrętnym potworem.

Zamordował własną matkę i przez trzy nocy spał na łóżku swej ofiary, której zwłoki ukrył pod niem.

Zbrodni tej dokonał dla zebrania kilku florenów, za które tegoż samego dnia poszedł do teatru i na wieczerzę do szynku.

Morderstwu temu towarzyszyły straszne okoliczności. Matka mówiła mu aby poszedł do roboty, Hackler schylił się, podniósł postronek leżący na ziemi, zarzucił go na szyję nieszczęśliwej kobiety i powaliwszy na ziemię, zatkał usta pakułami aby nie mogła krzyczeć i zabił szczapą drzewa.

Sam wyjawił te okoliczności.

— Jak mogłeś spać na łóżku pod którem leżało ciało zamordowanej matki? zapytał przewodniczący w sądzie przysięgłych.

— A tak jak zawsze, odrzekł.

Wieczorem dnia tego w którym zwiedzałem więzienie na Alser, przysłano mi bilet wejścia mocą którego mogłem nazajutrz rano być obecnym na egzekucyi mordercy.

Nastawiłem mój ekscytarz na piątą rano, ale obudziłem się daleko wcześniej: sama myśl że miałem być świadkiem odebrania życia człowiekowi spać mi nie dawała, hucząc w mej głowie jak dzwon pogrzebowy. Usłyszawszy jak zamówiony fiakr zajechał przed dom, wziąłem kapelusz i zszedłem ze ściśnionem sercem. Gdy śmierć jest tak blizko nas, zimny jej oddech mrozi nas swem tchnieniem i przejmuje dreszczem.

— Do więzienia na Alservorstadt! zawołałem na stangreta i rzuciłem się na siedzenie.

Przejechaliśmy około katedry, która wydawała się jak olbrzymia czarna skała panująca nad miastem. Przezroczysty cyferblat jednego z jej zegarów, wskazywał godzinę szóstą. Niektóre płonące jeszcze beki gazu, rzucały czerwonawe odbłyski, niby łzy krwawe, na ciężki płaszcz nocy spadający jeszcze do ziemi. Miasto zatopione jakby w grobowem milczeniu, posępny przedstawiało widok. Około domów przesuwały się od czasu do czasu milczące cienie, jakby procesya widm, i raz niknęli to znów ukazywali się w jaśniejszych miejscach, a wszyscy w tęż samą co ja kierowali się stronę.

Przed więzieniem tłumy zwiększały się co chwila, jak rzeka która przybierając zerwała tamy. Błyszczące karabiny żołnierzy stojących szeregiem, tworzyły w ciemności świetlejszą pręgę, a gaz padający na bagnety jakby przelotne błyski wśród nocy. Śnieg pokrył miasto niby niezmierzony całun, obłoki były tak ciężkie i ponure jak wieko od trumny.

Jakiś dziwny i niezwykły ruch panujący na korytarzach, zastąpił zwykły ponury spokój więzienia. Miarowy chód żołnierzy, pośpieszny i gorączkowy chód dozorców więzienia, szepty przybywających, budziły w tych wielkich nagich murach jakieś ponure, grobowe echo. Przechodząc widziałem celę do której przeprowadzono Hackler'a na tę ostatnią noc w jego życiu. Na ścianie wisiał Chrystus rozpięty na krzyżu, a skazaniec otoczony strażnikami siedział przy stole bezwładny i ogłupiały, czekając aż go ubiorą na rusztowanie. Kapłan przemawiał do niego, ale nie słuchał, nie okazywał nawet tego instynktu zachowawczego jaki okazuje bydlę, miotając się gdy je prowadzą do szlachtuza. Żyć czy umierać, było mu to zupełnie obojętne. „Gdy się wszystko odkryło, rzekł do sędziów, chciałem odebrać sobie życie, nie uczyniłem tego bo przyszło mi na myśl że wy to lepiej urządzicie.“ Zdawałoby się że zostawał w stanie odrętwienia mózgowego, jak człowiek nieprzytomny na umyśle. Wieczerzał z dobrym apetytem, spał spokojnie, a rano, wstawszy zjadł śniadanie, pił i palił.

Dziedziniec w którym odbywają się egzekucye, nosi nazwę „dziedzińca trupów;“ ma kształt wązkiego trójkąta i wązki korytarz łączy go z celą skazańca.

W samym kącie stoi szubienica, widzowie mieszczą się w przeciwnym rogu. Ciasny ten dziedziniec otoczony wysokiemi murami z małemi zakratowanemi otworami, przez które można dojrzeć wybladłe i ponure twarze więźni przyglądających się ciekawie, nader przykre sprawia wrażenie.

Dzień zaczął świtać nareszcie, powoli i leniwie, jakby się wstydził przyświecać potwornej scenie jaka miała się odbyć wśród tych ponurych murów. Niewyraźne jego blaski rzucały grobowy cień na otaczające przedmioty, a szubienica wzniesiona w rogu tych czarnych murów, sterczała groźnie wyciągając swe ramiona, jakby chcąc co prędzej pochwycić swoją ofiarę. Otaczał ją kordon żołnierzy.

Wybiło trzy kwadranse na siódmą; szmer cichych szeptów rozszedł się wśród tłumu, i w tejże chwili ukazał się kat ze swymi pomocnikami.

Kat miał na głowie wysoki kapelusz i granatowy paltot: wyglądał jak handlarz w świątecznym stroju; dwaj jego pomocnicy byli to bardzo młodzi chłopcy, nawet jeszcze bez zarostu. Tylko trzeci, z wielką rudą brodą, miał powierzchowność odpowiednią swemu zadaniu.

Starannie obejrzeli szubienicę, poczem kat wskazał pomocnikom do jakiej wysokości mają podnieść skazańca. Jeden z pomocników podał mu czarny worek, kat wyjął z niego kilka powrozów, wybrał jeden, położył na gradusach u stóp szubienicy, a drugi mniejszy schował do kieszeni.

Skończywszy te przygotowania, spojrzał na zegarek a widząc że nadchodzi stanowcza chwila, dał znak równocześnie z wybiciem ósmej godziny.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi więzienia i ukazał się Hackler a obok niego komisya sądowa, jałmużnik więzienia i starszy nadzorca. Zbrodniarz szedł sztywno, z nieruchomym wzrokiem, trzymając krucyfiks w zaciśnionych dłoniach; pewnym krokiem zszedł z kilku schodków i stanął pod szubienicą. Był blady jak chusta; krople potu spływały po twarzy, z bydlęcą apatyą rzucał głupowate i złośliwe spojrzenia na kata, pomocników jego, żołnierzy i sędziów.

Przewodniczący komisyi wykonawczej, postąpił trzy kroki naprzód, i rzekł wskazując katowi skazańca:

— Oddaję ci obecnego tu Rajmunda Hackler, skazanego na powieszenie; spełń twoją powinność.

Kat skłonił głowę, członkowie delegacyi sądowej cofnęli się nieco, a kat wyciągając ręce ujął skazańca, któremu kapłan powtarzał słowa religijnej pociechy.

Hackler nie objawił najmniejszej obawy. Pomocnicy kata chcieli go rozebrać: „Dajcie pokój, sam to zrobię.“ I ze spokojem i obojętnością człowieka rozbierającego się aby spać snem sprawiedliwego, zdjął surdut, kamizelkę i chustkę z szyi, położył na stopniach szubienicy, i nie rzekłszy słowa wszedł na szubienicę stanął i przechylił głowę na ramię. Związano mu ręce w tył; następnie kat zarzucił mu powróz koło kolan i związał nogi, i w tejże chwili pomocnicy podnieśli skazańca w górę. Kat który stał na gradusach, zarzucił Hackler'owi drugi powróz na szyję, który wtenczas szarpnął się mocno jakby chcąc się wyzwolić. Ale już było zapóźno.

Hackler przestał żyć.

W powietrzu, po nad domami których dachy wschodzące słońce rozjaśniło uśmiechem życia, rozległ się żałobny dźwięk pogrobowego dzwonu, a tłum zgromadzony wydzierał sobie krzycząc i spierając się wyrok śmierci skazańca.

(d. c. n).

KAMIEŃ PRÓBIERCZY.

KOMEDYA OPOWIEDZIANA

p. Stefana Enault

Tłomaczona przez K. G.

I.

Panna de Lormand zaledwie była siedemnastoletnią gdy zaślubiła p. Davenel starszego od niej o całe pięćdziesiąt pięć lat. Małżeństwo to wywołało ogólne oburzenie, głośno o niem mówiono że wynikło z szaleństwa i rachuby. Osądzono że starca warto by zamknąć w domu waryatów, a młodą pannę w kantorze lichwiarza do obliczania procentów. Lecz że podług powszechnej reguły prawda w życiu bywa kontrastem opinii świata, wszystkie te złośliwości były zupełnie niedorzeczne. Prawdą zaś było to, że Julietta de Lormand stała się posłuszną woli troskliwej o nią chorej matki i szlachetnym naleganiom p. Dawenel, który odezwał się do niej w te słowa: „Straciłaś już moje drogie dziecię ojca, a ciągłe cierpienia mogą ci także wkrótce zabrać i matkę, pozostaniesz wtedy sierotą, bez przewodnika, bez opieki. Oddaj mi swą rękę, daj mi prawo

opi kowania się tobą, w moim wieku posiada się tylko tytuł męża a serce ojca. Będziesz moją córką, kochać cię będę przywiązaniem prawdziwie ojcowskiem.

Pani de Lormand jak gdyby tylko za tem czekała umarła wkrótce, zabierając do grobu tę pociechę że była spokojną o los córki którą widziała uwielbianą pośród atmosfery bogactwa. „Julietta będzie szczęśliwą, zapewniam cię moja droga przyjaciółko,“ rzekł do umierającej p. Davenel, a był to człowiek dotrzymujący zawsze danego słowa. Otoczył Juliettę najwyszukańszą troskliwością, będąc sam przytem miłego i jednostajnego humoru. Wiedząc dobrze o czem może marzyć osiemnastoletnie serce, usiłował zapobiegać temu przez tysiączne rozrywki. Zdawało mu się że tym sposobem uchroni albo przynajmniej oddali tę chwilę prawie nieuniknioną rozwinięcia się kwiatu młodości który zowią miłością. I miał w tem słuszność: samotność więcej usposabia młode dziewczę do marzeń i miłości aniżeli zabawy światowe. Julietta posiadała dobre usposobienie, kochające i wdzięczne, przyjaźń jej dla p. Davenel datowała od dawna, a mając tyle od niego dowodów przywiązania i troskliwości podwoiła się jeszcze. Lecz, czy to że z wiekiem wyczerpały się jego siły, czy też rodzaj życia jaki obecnie prowadził przyśpieszył koniec, pewnego dnia zaczął się uskarżać, następnie położył się w łóżko ażeby już więcej z niego nie powstać. Na kilka godzin przed śmiercią, ujął rękę Julietty, przyciągnął ją do siebie, i na wpół zgasłym głosem rzekł do niej: „Moje dziecię, zostaniesz wdową, wolną i bogatą, staniesz się celem starań i zabiegów. Bądź ostrożną, przezorną, nie daj się uwieść fałszywym uczuciom, które ci będą ukazywane, i wybierz tylko tego za męża, który nie dla twego majątku ale dla ciebie samej cię ukocha. Znajdziesz w moich papierach list zaadresowany wyłącznie do siebie, przeczytaj go i zachowaj w pamięci; on może będzie twojem zbawieniem. Podniósł do zbladłych ust rękę swej młodej płaczącej żony, i dusza jego uleciała z westchnieniem.

Julietta żałowała szczerze p. Davenel, straciła w nim drugiego ojca. Cały rok żałoby przepędziła na wsi, w samotności, gdyż z religijną czcią szanowała wspomnienie. Gdy wreszcie zaczęła znowu bywać w świecie, ujrzała się otoczoną, uwielbianą, przyjmowaną z zapałem przez cały elegancki świat paryzki, i podobna do ptaszka spoczywającego długo w cienistem, miękiem, mchowem gniazdeczku, znudzona samotnością i spokojem, rzuciła się w odmęt przyjemności o jakie dopominały się jej dwadzieścia lat. Uwielbiana przez całą modną młodzież, przedmiot starań ludzi najznakomitszych, wstęp do jej salonu stał się marzeniem, pychą synów bogatych rodzin, osób mających znaczenie, zrujnowanych markizów, ajentów bankowych w kłopotach, którzy pragnęli starać się o względy pięknej i młodej milionerki.

W liczbie osób przyjmowanych jak się zdawało najlepiej, było szczególniej trzech, którzy podług ogólnej opinii mogli mieć najwięcej szansy w utrzymaniu ręki Julietty: jeden z nich był to markiz de Croisel, młody i piękny jak Autenoies, pełen wykwintnego wdzięku, ulubieniec salonów; średni jego majątek nie dozwalał mu błyszczeć zbytkiem, ale sam sposób bycia arystokratyczny nawet w skromnem otoczeniu, wystarczał żeby go z pośród innych wyróżniać. Drugi, deputowany p. Desmarets jeden z mówców mający największe powodzenie w Izbach, lat około trzydziestu z przyjemną powierzchownością i eleganckiemi manierami, był bardzo dobrze widziany przez ministrów, którzy wysoko cenili jego mowy, i nie mniejsze posiadający względy kobiet które zjednywał sobie swą uprzejmością. Trzecim był bogaty negocyant Paryzki, negocyant nie z własnego upodobania lecz z woli rodziców, zajmujący się mało interesami, wydający dużo pieniędzy, bardzo sentymentalny, prawie poeta, i wzdychający tylko, jak sam mówił, za życiem pełnem spokoju i miłości, zdala od nieznośnych zajęć handlowych, przytem ładny chłopiec, z miłym charakterem, i lubiany przez wszystkich; nazywał się Norval. Wszyscy trzej, dobrzy koledzy, starali się jednocześnie o rękę młodej wdowy. Przyjmowała ich z jednakową uprzejmością, lecz nie okazywała żadnemu z nich wyraźnej skłonności. Gdy de Croisel zaczął bywać admirowała jego cudowną piękność, i ulegając mimowoli urokowi tego wdzięku jaki posiadał, myślała z upodobaniem że jegoby to wybrała z pomiędzy wszystkich na męża. Lecz gdy Desmarets przybył i zaczął zachwycać jej ucho swą elegancką i harmonijną wymową, którą tak czarownie władał, zapytywała się siebie, czy rozważywszy nie wolałaby go od innych. Później, przychodziła kolej na Norvala, którego sentymentalne grzeczności chwytały ją za serce: i usposabiały do marzeń.

Julietta miała zwyczaj przepędzać lato na wsi, w starym zamku o cztery mile od Nantes, ukrytym jak gwiazdka pośród zieloności, z dwóch stron widać było wsie Dacemartin i Monchauvet. Zamek ten nosił nazwisko *Trzech fontan* z powodu trzech źródeł wytryskających na otaczających go łąkach. Samo w nim mieszkanie nie było zbyt wytwornie urządzone, ale wynadgradzała to malownicza i wzgórzysta okolica, pełna zieloności i lasów, wdzięku i powabu. Julietta lubiła zamek Trzech fontan jak się lubi starego przyjaciela, zwłaszcza że z nim łączyło się wspomnienie p. Davenel którego był ulubionem miejscem pobytu.

Zresztą nie potrzebowała obawiać się tutaj samotności, nie brakowało jej gości, z okolicznych zamków a nawet i ze stolicy. De Croisel, Norval, Desmarets, odwiedzali ją z przykładną punktualnością, i jak gdyby się umówili kolejno przyjeżdżali. Jednakże w czasie polowania zjechali się razem i jako ludzie dobrze wychowani, zdawali się przynajmniej na pozór, być serdecznymi przyjaciółmi. Pewnego dnia gdy wracali z myśliwskiej wycieczki, rozmowa ich tocząca się z początku o błahostkach, przeszła na przyjmującą ich panią zamku, i zaczęli wszyscy trzej wychwalać jej wdzięk, piękność, rozum i serce; pierwszy raz może tak otwarcie ze sobą mówili.

— Dalibóg! zawołał de Croisel, stanąwszy nagle na środku ścieżki i opierając się na lufie swej fuzyi, mówmy otwarcie moi panowie, i przyznajmy się że polujemy wszyscy na jedną zwierzynę: chcemy się ożenić z panią Davenel.

— Po co się mamy do tego przyznawać? odrzekł Desmarets, to jasne jak dzień, jesteśmy rywalami.

— Co do mnie, powiedział Norval, naśladując swych towarzyszy, ten związek jest mojem najdroższem marzeniem, i wolałbym raczej umrzeć jak go się wyrzec.

— No, no, zawołał de Croisel uśmiechając się, to zakrawa na wyzwanie, i jest w złym guście mój kochany.

— De Croisel ma racyą, rzekł Desmarets. Miłość przestała już być areną do której się wchodziło z mieczem w ręku aby walczyć; jest raczej teatrem gdzie piękność wieńczy nie najwaleczniejszego lecz tego który najlepiej umiał kochać. Zastosujemy się więc do naszego wieku tolerancyi politycznej, religijnej i miłości; są antagoniści, ale nie ma nie przyjaciół: a jednakże pomimo tego o ile mi się zdaje, nie dzieje się gorzej... Ale á propos, mówił dalej, jak stoją nasze interesa? Otóż przyznaliśmy się na wpół, dla czego nie mielibyśmy sobie powiedzieć wszystkiego? Czy więc który z nas szczęśliwszy od innych? Co do mnie przyznać wam się muszę, że nie wiem co mam myśleć o prawdziwem względem mnie usposobieniu pani Davenel, i ta niepewność gorzej mnie dręczy jak smutna rzeczywistość.

— Daję wam słowo, rzekł de Croisel, że oprócz czarujących uśmiechów i miłych słówek, nie pozyskałem nic takiego coby coś więcej znaczyć mogło.

— Co do mnie, rzekł Norval, wyznaję że nigdy nie zebrałem lepszego plonu, zupełny głód u mnie.

— Niestety! zaledwie kilka kłosów znalazłem na tem polu, odrzekł Desmarets, nasze zbiory jak się pokazuje, nie byłyby w stanie podtrzymać zbyt silnych nadziei. A przecież mówią wszędzie, że my jesteśmy najlepiej przyjmowani, i inni konkurenci ustąpili przed nami.

— Musimy się jednakże dowiedzieć, czego się mamy spodziewać, do licha! rzekł de Croisel, to bardzo łatwo: opuszczamy pojutrze zamek, poprośmy każdy z osobna panią Davenel o chwilę rozmowy sam na sam, oświadczmy jej nasze uczucia, i zmusimy ją tym sposobem do wyjaśnienia co o nas myśli.

— Popieram najzupełniej propozycyą szanownego mówcy, rzekł z uśmiechem Desmarets. Zaraz dziś rozpoczniemy oblężenie tej niezdobytej fortecy, i temu który na wyłomie wywiesi zwycięzką chorągiew, dwaj inni składać będą życzenia.

— Z mej strony, nie obiecuję mu bardzo serdecznych, rzekł Norval.

— Upoważniamy cię do tego że możesz mu się nawet najokropniej skrzywić, odrzekł śmiejąc się de Croisel.

Zarzuciwszy fuzye na ramiona szli drogą do zamku. Lecz zaledwie uszli kilka kroków, spostrzegli na małej dróżce od której oddzielał ich tylko strumyk Vaucouleurs, panią Davenel udającą się na ich spotkanie. Jechała konno ubrana w białą amazonkę, była rzeczywiście zachwycającą w tym ubiorze uwydatniającym tak cudownie jej pełne powabu delikatne i eleganckie kształty. Za nią jechał stary służący. De Croisel wyprostował swą piękną postać, Desmarets przygotował najpiękniejsze słówka, a Norval uzbroił się w najwymowniejsze spojrzenie. Ażeby się spotkać trzeba było przebyć drewniany mostek zarzucony nad szerokim i wezbranym strumieniem.

Ponieważ myśliwi byli jeszcze oddaleni, Julietta chciała przejechać na drugą stronę strumyka, lecz bądź to że koń poczuł chwiejący się pod jego nogami mostek, czy też przestraszył się szmeru wody która w tym miejscu tworzyła kaskadę, wspiął się rzuciwszy się na bok złamał poręcz i wpadł w wodę wraz z Juliettą przez ten nagły skok wyrzuconą z siodła. Dały się słyszeć głośne krzyki, nasi trzej myśliwi coprędzej przybiegli. Będąc już na moście, chcieli wskoczyć w wodę, gdy stary służący zwrócił ich uwagę że już ktoś inny ich w tem uprzedził.

Jakiś człowiek uchwyciwszy za suknię panią Davenel płynął z nią do brzegu pomimo szybkiego prądu wody. Pobiegli coprędzej do miejsca dokąd zmierzał pływak, i odebrali z jego rąk omdlałą młodą kobietę. Julietta przyszedłszy wkrótce do przytomności zdawała się coś sobie przypominać, spojrzała w około kilka razy i rzekła zdziwionym głosem:

— Gdzież on jest?

Łatwo się było domyśleć że chodziło jej o tego który ją wyciągnął z wody. Szukano go na wszystkie strony.

— Znikł, odpowiedział de Croisel.

— Ach! rzekła Julietta smutnym głosem.

— Patrz pani, tam na wzgórzu, widać go, rzekł Desmarets.

Julietta rzuciła się żywo na wskazaną stronę, i ujrzała młodego człowieka ubranego w bluzę, idącego śpiesznie ku wsi Dacemartin.

— Tak, tak, poszepnęła wzruszona, to on niezawodnie!... I zamyśliła się.

W tej chwili stary służący przyprowadził konia który wypłynął dalej. Julietta umieściła się na siodle i udano się do zamku. Julietta jadąc wolno zwracała często oczy w stronę gdzie znikł jej wybawiciel.

Przez resztę dnia była roztargnioną i milczącą, tak że jej goście to spostrzegli.

— Pani Davenel jest bardzo zamyśloną, bardzo roztargnioną, rzekł Norval wzdychając.

— Tam do licha! czyby myślała o tym wieśniaczku? odrzekł de Croisel z pogardliwym uśmiechem.

— Hum! powiedział Desmarets, serce kobiety to sfinks zagadkowy. Ale niezapominajmy o naszej umowie.

II.

W rzeczy samej Julietta myślała o tym człowieku który się zjawił tak w sam raz. Zaczem zemdlała, poznała go gdy się zbliżał płynąc do niej, a odzyskawszy zmysły pierwsze wspomnienia w niej się wzbudziły. Jeszcze będąc dzieckiem gdy przyjechała ze swą matką do Trzech Fontan, spotykała często młodego chłopca który stał się towarzyszem jej zabaw. Był to syn przyjaciela p. Davenel, mieszkającego w sąsiedztwie właściciela.

Chłopczyk nie był pięknym, ale okazywał się tak dobrym, tak pieszczotliwym, tak wdzięcznym, że wszyscy go kochali, a Julietta przywiązała się do niego bardzo. Później gdy go umieszczono w szkole w Paryżu, Maurycy przyjeżdżał bardzo rzadko do Trzech Fontan, i nie widywał się ze swą młodą przyjaciółką jak tylko podczas wakacyi. Wtenczas nie było końca wesołości i szalonym zabawom, które zawsze za prędko im przerywano. Ale wkrótce nadszedł wiek młodzieńczy, a z nim towarzyszące mu skromność, nieśmiałość i wstydliwość; widywano się jeszcze rzadziej jak dawniej, nie biegano już razem tak swobodnie po łąkach i cieniach, rozmawiano z większą uwagą i płoniono się rumieńcem za każdem wzajemnem spojrzeniem; krótko mówiąc nie kochano się już tak jak dawniej, ale prawdopodobnie miano się pokochać inaczej. Maurycy jako młody człowiek sprawdził to co zapowiadały jego dziecinne lata: miły, szczupły, prawie brzydki, ale z fizyognomią pełną wyrazu, wdzięku i rozumu. Julietta była już piękną i dobrą młodą dziewicą, tak dobrą że nie chciała przyznać tego że Maurycy był brzydki, widziała w nim pewno tylko jego piękną duszę. Nagłe nieszczęście przerwało tę czarowną zaledwie rozpoczętą sielankę. Ojciec Maurycego wdawszy się nierozważnie w jakieś rolnicze przedsiębierstwo, ujrzał się przez proces pozbawiony w jednym dniu całego mienia, postanowił opuścić kraj. Maurycy musiał towarzyszyć swemu ojcu do Ameryki. Ten odjazd kosztował go dużo łez. Zaledwie miał czas pożegnać swoją towarzyszkę w zamku Trzech Fontan. Julietta zachowała długo o nim wspomnienie, i był to może jeden z większych powodów że zrazu odmówiła swej ręki p. Davenel. Lecz, jak powiedział pewien poeta, miłość której nic nie podsyca, jest jak płomień ponczu który gaśnie wypalony. Obraz Maurycego zatarł się powoli w duszy Julietty. Jednak jednego razu, kilka dni temu, wyszedłszy sama na przechadzkę w pole ażeby użyć pięknego wieczoru, gdy się zbliżała do jednego z trzech źródeł na łące, zatrzymała się nagle ujrzawszy nad brzegiem siedzącego człowieka. Chociaż na niebie błyszczały miliony gwiazd, nie było jednakże tak jasno, żeby mogła rozpoznać jego rysy. Usłyszawszy szelest, wstał, spojrzał na nią, zdawał się wahać, a potem nagle się oddalił. Julietta nie była zbyt odważną, obawiając się czy to nie jaki zły człowiek, powróciła do zamku. Idąc, zatrzymała się nagle, uderzona nową myślą: że ten nieznajomy siedzący nad brzegiem fontanny, nie mógł być kto inny jak tylko Maurycy; zdawało jej się że rozpoznała wpółcieniach, jego chód i postawę. Nie mogąc jednakże pojąć dla czego zamiast się dać poznać oddalił od niej, powzięła przekonanie że to nie był on i wkrótce już o tem wcale nie myślała. Lecz po wypadku nad strumieniem, nie mogła już powątpiewać że Maurycy znajduje się w tych stronach, a to odkrycie rozbudziło tysiące wspomnień uśpionych w głębi jej serca.

Nie było to już to uczucie serdeczne i naiwne które kiedyś wzbudzał w niej jej towarzysz; ale w braku nie istniejącej już skłonności, czuła dla niego wdzięczność a ten wzgląd był bardzo dostateczny żeby Maurycy jej myśli zajmował. We wsi Dacemartin mieszkała jedna dobra kobieta, nazywana matką Guérin, która była niegdyś macochą młodego człowieka, postanowiła iść do niej i wybadać ją.

Gdy przechadzając się po ogrodzie, układała w myśli ten projekt, zbliżył się ku niej markiz de Croisel z miną więcej uroczystą jak zwykle.

Julietta jak powiedzieliśmy wyżej, nie była zupełnie obojętną na piękność Antinoüsową markiza de Croisel. Jego czarne duże oczy, zachwycająco utoczona postać, i wykwintne ułożenie, zniewalały ku niemu jej serce. Jeżeli go jeszcze nie kochała, to przynajmniej podobał się jej bardzo. Przy tem może, nie gniewałoby ją to wcale żeby została markizą, gdyż kobiety lubią wszelkie błahostki, tytuły, tak samo jak klejnoty. Zerwał bengalską różę i podając ją Juliecie:

— Przyjmij ją pani, rzekł z uśmiechem który odsłonił prześliczne połyskujące białością zęby pod czarnym wąsem. Chciałem z panią pomówić... poważnie. Jeżeli słowa moje zyskają uznanie pani, oddasz mi tę różę; jeżeli zaś nie, oberwiesz pani jej listki, a ja z całą rezygnacyą pożegnać muszę wszystkie moje nadzieje.

Julietta wzięła kwiatek patrząc na markiza zdziwiona.

— O cóż więc chodzi, powiedz pan? zapytała z uśmiechem.

— Wytłomaczę się pani.

I wypowiedział jej w żywych słowach całą miłość swoją. Uczynił to z wdziękiem i szczerością, gdyż Julietta zasługiwała pod każdym względem na to ażeby wzbudzać tkliwe uczucie. Gdy de Croisel zakończył formalne swoje oświadczenie prosząc o jej rękę, oczekiwał skutku. Julietta, z pochyloną głową, zamyślona, z zarumienionemi policzkami, szła ciągle w milczeniu ocienioną aleją, bawiąc się różą.

— I cóż! pani zapytał de Croisel wzruszonym głosem, czegóż się mam spodziewać, czego się mam obawiać? Czy oddasz mi pani ten kwiatek? czy też oberwiesz jego listki? Drżę cały! Julietta nie mniej była wzruszoną, zaskoczona niespodzianie, nie wiedziała co postanowić.

(d. c. n.)

POGADANKA.

Podług francuzkiego przysłowia, małe podarunki utrwalają przyjaźń.

A jakiż skutek wywierają podarunki wielkie?

Jeżeli w miarę wielkości lub ceny podarku wzrasta i to uczucie, które stawia się wyżej nawet nad miłość (nb. po dojściu do pewnego wieku, słabą tylko mającego styczność z młodością), to obecnie Francya i Ameryka przedstawiałyby ciekawe i nieznane dotąd widowisko, czterdziestu milionów Pythiasów gruchających z czterdziestoma milionami Damonów.

Francya bowiem robi Ameryce podarunek, który nazwałbym królewskim, gdyby nie to, że Mac-Mahon nie nosi, a Gambetta prawdopodobnie nosić nie będzie korony. Jest to więc tylko podarunek, ofiarowany jednej Rzeczypospolitej przez drugą. Oglądać go można na wystawie paryzkiej; ale ponieważ śnieć w pszenicy tegorocznej zredukowała tę możność do zera dla bardzo wielu osób, przeto opiszę Wam ów podarunek, który w starożytności stanąłby pewnie obok kolosu rodyjskiego, jako ósmy cud świata.

Zatoka Nowego Yorku, stanowiąca jedną z najwspanialszych w świecie przystani dla okrętów, nie posiadała dotychczas latarni morskiej. Francuzi, chcąc upamiętnić stuletnią rocznicę niepodległości amerykańskiej, do której czynną przyłożyli rękę, postanowili taką latarnią amerykanom ofiarować. Lecz chodziło tu o coś więcej niż o wybudowanie zwykłej wieży; sojusz dwóch narodów należało uwiecznić odpowiednim emblematem. Myśl tę urzeczywistnił rzeźbiarz Bartholdi, który komitetowi, zajmującemu się zbieraniem składek, przedstawił projekt olbrzymiego posągu „wolności, oświetlającej ziemię.“ Tym sposobem latarnia będzie zarazem pomnikiem i dziełem sztuki.

Wyobraźmy sobie postać kobiecą, odzianą w tunikę i *peplum* greckie, trzymającą w wyciągniętej do góry dłoni pochodnię; głowę postaci otacza dyadem, z którego równie jak i z pochodni, tryskać będą każdej nocy promienie światła elektrycznego, tworząc aureolę, rozsiewającą jasność na parę mil dokoła. Posąg, wykuty z miedzi, ma 112 stóp wysokości; piedestał kamienny wznosi się na 88 stóp; cała przeto latarnia jest na 200 stóp wysoką i z tej wyżyny oświetlać będzie całą przystań nowo-yorkską, miasta, wille i lasy na wybrzeżach.

Dwieście stóp... czy zdajecie sobie sprawę z tego ogromu? Dom dwupiętrowy, po szczyt dachu, ma około stóp siedemdziesięciu; słynny posąg Bawaryi w Monachium, liczy, razem z podstawą, 96 stóp; wieża kościoła ś. Krzyża w Warszawie, rachując od poziomu ulicy, nie wznosi się, o ile sądzić mogę, wyżej nad 140—160 stóp. Wreszcie aby dać przybliżone pojęcie o rozmiarach posągu, powiem, że w jego głowie urządzony jest pokój, w którym dwadzieścia osób może się wygodnie pomieścić.

Nie jest że to godne *pendant* kolosu rodyjskiego? Dodać trzeba że posąg wolności jest zarazem niepospolitem dziełem sztuki, a promienna aureola nadawać mu będzie urok magiczny, niby geniusza z Tysiąca i jednej nocy.

Gdybyż choć skromna cząstka tego światła mogła być przeniesioną do naszej tak smutnie oświetlonej Warszawy... gdybyż ją posiadł, naprzykład, ogród Saski, w którym ustawicznie potrącamy o drzewa i zawadzamy o ławki, wracając z Letniego Teatru! Już to pod względem światła, jesteśmy niepomału upośledzeni; w miastach zagranicznych wszędzie ogrody publiczne są do późnego wieczora oświetlane,

nawet w skromnym Lwowie ogród jezuicki posiada latarnie gazowe; my tylko zniewoleni jesteśmy opuszczać o zmroku aleje Saskiego wirydarza, lub błąkać się w ciemnościach Erebu, dopóki powabna grzechotka stróża nie da hasła do odwrotu. A tymczasem, w porze letnich skwarów, przechadzka po ogrodzie wtedy dopiero przestaje być nużącą, kiedy zeń uchodzić trzeba.

Rzecz jasna, że ta mówka w obronie przechadzek wieczornych wypowiedziana, nie stosuje się do dziatwy, napełniającej ogród od rana do zmroku. Wyjątek ten jest konieczny nietylko ze względu na rosę wieczorną, ale i z innych powodów. Jeżeli bowiem mamki i niańki, nie wahają się przy świetle dziennem używać argumentów wychowawczych, będących w jaskrawej sprzeczności z zasadami nowoczesnej pedagogii, to o ileż obfitszem byłoby użycie tych argumentów pod osłoną cieni wieczornych, których największa nawet ilość płomieni gazowych nie zdoła całkowicie rozproszyć!

Ktoby w tych słowach dopatrywać chciał przesady, niechaj zechce kilka dni poświęcić na baczną obserwacyą. Mówię wyraźnie: kilka dni, albowiem jak niebo bywa raz pogodne, to znowu chmurne i brzemienne deszczem, tak i usposobienie wymienionych dozorczyń niemowlęcego i szczebiotającego pokolenia, w ogóle wcale nie niebiańskie, miewa jednak dnie pogody i burzy. Zdarza się czasem że od rana do wieczora cały zastęp nianiek ogranicza się na łagodnych, tylko słownych przemówieniach; kiedyindziej znowu, zły humor jednej dozorczyni udziela się epidemicznie drugim, i wtedy przez dzień cały odbywają się doraźne egzekucye, przeplatane tylko narzekaniem na dzieci i obmawianiem *„państwa.“* Świadkom takich scen, częstszych niż możnaby mniemać, uporczywie ciśnie się myśl do głowy i serca, że dla samych opiekunek potrzebaby bardzo czujnej opieki i ścisłej kontroli.

Atoli w groźniejszych daleko barwach przedstawia się brak innej opieki, mianowicie nad dziećmi wiejskiemi. Tu już nie o sińce i guzy, ale o życie idzie. Z wiadomości zbieranych dorywczo, więc bardzo niedostatecznych i niezupełnych, przekonywamy się że przez jeden tylko miesiąc czerwiec, we wszystkich guberniach Królestwa, około *stu* dzieci wiejskich poniosło śmierć przez utonięcie. Jest to zwykła u nas klęska w porze letniej, tak jak wypadki śmierci od ognia są plagą pory zimowej. Straszny to haracz... a nietrudny do usunięcia z rubryk naszej statystyki. Przy dobrej woli, utworzenie ochronek wiejskich, oddzielnych lub połączonych ze szkółkami, przestałoby być mrzonką; dopełniwszy tego dzieła, pomyślelibyśmy niewątpliwie ze zdziwieniem, że przed wprowadzeniem w czyn rzeczy tak łatwej, tyle czasu potrzebowaliśmy do namysłu.

Objaw to zaiste szczególny że największego oporu doznaje urzeczywistnienie spraw najłatwiejszych. Przykładów nie potrzebujemy szukać daleko. Toć przecie „pan Damazy“ rok cały tułał się po świecie, zanim stał się ekstraktem Liebiga dla wycieńczonej kasy warszawskiego teatru, a panna Machwic i pan Zakrzewski silniejszym są magnesem dla publiczności niż włoskie truppy, które należałoby pisać przez jedno *p*, ze względy na ich zasoby artystyczne. Przeszłoroczne występy pani Jakowickiej, które także były dowodem jak trudny jest każdej rzeczy początek, dały hasło do pożądanej nowości: werbowania artystów na występy gościnne w porze letniej. Że dyrekcya źle na tem nie wychodzi, świadczy zawsze pełna sala na występach p. Machwic i p. Zakrzewskiego, a zyskuje na tem i opera miejscowa, która bez tych środków pomocniczych, śpi zwykle przez zimę a w lecie odpoczywa.

Myliłby się jednak ktoby sądził, że uważam za rzecz pożądaną dla dyrekcyi zaliczenie np. pana Zakrzewskiego w poczet stałych członków naszej opery. Z wielokrotnego bowiem doświadczenia sądząc, jestem przekonany że z dniem podpisania kontraktu zapał nasz zacząłby ostygać i teatr świeciłby pustkami jak wprzódy. Tylko nowość bawi, a rzecz stale posiadana, zużywa się i powszednieje. Mamy przecież p. Cieślewskiego, który pod wieloma względami stoi wyżej od dzisiejszego gościa, a jednak nie piszemy mu dytyrambów. Gdyby p. Cieślewski na parę lat porzucił Warszawę i potem wrócił, jako gość, miesiąc lub dwa witalibyśmy go wówczas z niewymownym entuzyazmem, jak dziś p. Zakrzewskiego. Gdyby nasze dłonie składało do oklasku to, co *istotę* artystycznego śpiewu stanowi, innego wówczas byłbym zdania o trwałości powodzenia obu tenorów i w ogóle śpiewaków na naszej scenie; ale nas wprowadza w zachwyt siła krtani, parę tonów wysokich i forsownych, a taki zachwyt na zbyt wątłej opiera się podstawie.

Tak rozmyślałem, gdy po skończonem przedstawieniu w Teatrze Letnim, kroczyłem ciemną aleją ogrodu Saskiego, pod parasolem, który pomimo że nowy i gęstą materyą pokryty, wydał mi się owego wieczoru podziurawiony jak rzeszoto. Nic dziwnego że wśród takiej niepożądanej kąpieli kroplistej, mogącej ostudzić najżywsze zapały artystyczne, myśl moja zwróciła się od opery do meteorologii. Przypomniałem sobie że już dwadzieścia kilka lat temu, z okazyi deszczów nawiedzających całą Europę, pisano o związku między słotą i plamami na słońcu. Liczba i wielkość tych plam zwiększa się i zmniejsza peryodycznie: co czternaście lat dochodzi do punktu kulminacyjnego, poczem, przez lat mniej więcej siedem, plamy stopniowo się zmniejszają, a następnie znowu zaczynają się powiększać aż do drugiego punktu kulminacyjnego, po upływie drugich lat siedmiu. W tym samym stosunku i porządku wzrasta lub maleje ilość deszczu.

Otóż zaledwie parę dni temu, wyczytałem potwierdzenie tej hypotezy. Tysiące obserwacyi dokonywanych przez lat kilkanaście na całej niemal kuli ziemskiej, wykazały dowodnie, że lata chłodne i dżdżyste odpowiadają większej ilości plam słonecznych i są od niej widocznie zależne; że ilość przecięciowa wody atmosferycznej, opadającej w ciągu jednego roku, wzrasta kolejno przez siedem lat, razem z ilością plam, a przez następne siedem lat się zmniejsza. W okresie przeto czternastoletnim przypada siedem lat średnio i bardzo mokrych, oraz siedem średnio i bardzo suchych.

Czyż to nie przypomina owych siedmiu krów tłustych i siedmiu chudych, o których śniło się Faraonowi? Wszak lata mokre są latami głodu. Jeżeli dać wiarę powyższej wróżbie, to czekają nas jeszcze trzy lub cztery lata dżdżyste, może jeszcze dotkliwsze niż rok bieżący.

Pocieszajmy się jednak nadzieją że wróżby zawodzą. Fatalnie naprzykład zawiodła nas starodawna przepowiednia gospodarska.

Kiedy raz pierwszy marzec grzmoty głosi,
Wiatry, urodzaj i wojnę przynosi.

Grzmoty wprawdzie mieliśmy w Marcu, a nawet i pioruny; wiatru i to z deszczem, mamy także poddostatkiem, lecz co do wojny, tej marzec nie przyniósł ale odniósł ją... przynajmniej na czas jakiś, a urodzaj, lepiej o nim zamilczeć.

Spostrzegam po niewczasie, żem się wdał w rozprawę o pogodzie. Może jednak uzyskam przebaczenie, ze względu na okoliczność łagodzącą, iż zużyty temat oblokłem w modną dziś sukienkę naukowo-przyrodniczą. Wprawdzie, przykrojona przeze mnie sukienka ta pokaźną być nie może; ale też od potocznej gawędki, nie wymagajcie ścisłości rozprawy fachowej. A zresztą, jeżeli mówienie o pogodzie jest błędem, te czemże byłoby mówienie o pogodzie długo i z profesorskiem namaszczeniem.

Zawiadomienie.

Od dnia pier. Września, rozpoczynają się nowe czteromiesięczne kursa, w szkole rękodzielniczej dla kobiet w Włocławku. Rękawicznictwo, nauka koronek i szewctwo, własnych wymaga materyałów. Kwiaciarstwo, introligatorstwo, szycie bielizny, i krawiectwo, korzysta z materyałów zakładu dostarczonych przez obstalunki. Część umysłowa, mianowicie nauka języków i buchalteryi, należy do niedzielnego wykładu, a talenta, w pozaplanowych godzinach. Pensyonarki płacą za życie, mieszkanie i wszechstronną naukę tak umysłową jak fachową (oprócz talentów) rs. 20 miesięcznie, oraz tytułem wpisowego rs. 25. Przychodnie zaś za całkowite ukończenie kursów obranego przez siebie rzemiosła, płacą rs. trzydzieści.

Przełożona szkoły rękodzielniczej dla kobiet
Agnieszka z Wilczewskich Bufle.

Opis ryciny kolorowej.

Letnie ubranie z gładkiego i w kraty kretonu. Długa bluza ułożona w fałdy i przepięta paskiem, ozdobny podwójny kołnierz z tyłu spiczasto zakończony, tunika ułożoną w fałdowaną draperyę i zakończona szarfami. Spódnicę zdobią dwie wązkie falbanki w kraty, przeszyte gładką pliską. Kapelusz z tego samego co suknia materyału przybrany wstążką i różą.

Letnie ubranie z gładkiego niewarowego płótna z granatowemi wypustkami. Długa poloneza, tunika przybrana potrojnemi plisami a każda plisa z granatową wypustką, spódnica oszyta dwoma plisowanemi falbankami, objętemi granatowemi wypustkami. Guziki rogowe granatowe. Kapelusz z fantazyjnej słomki, przybrany granatową wstążką, makami i kłosami.

Prenumerata wynosi kwartalnie:
w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.
Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).*

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 18 (30) Іюля 1878 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Opis do N. 30.

(Dokończenie).

N. 2. Sukienka pikowa dla dziecka lat 2—3.

Plecy sukienki wcięte od góry, u dołu dopełnione częścią fałdowaną 24 cent. długą, 72 szeroką, złożoną w kontrafałdy; na przyszyciu poniżej wcięcia stanu dane patki ze wstawki 1 ½ cent. szerokiej, oszytej 4 cent. szeroką haftowaną falbanką; także wszywka i falbana naszyta na przodach odznacza jakby kaftaniczek ścięty w długie zęby. U dołu sukienki naszyte pliseczki pikowe i sutasz; kwadratowy wykrój szyi otoczony pliseczką, wszywką i falbanką zwróconą ku górze.

N. 3. Suknia z vêtement. Krój vêtement podług ryc. 11—12 w N-rze 19.

Ubranie to odpowiednie dla młodej panienki wykończone jest z jasno-popielatego beżu. Vêtement formą princesse z przodu długie i zupełnie gładkie, z tyłu lekko podpięte ozdobione jest wzdłuż przodów pasem haftu tamburkowego na białym batyście 9 cent. szerokim, wzdłuż brzegów naszytym małemi guziczkami białemi; w takiż sam sposób wyszyty jest wielki wykładany kołnierz (13 cent. szeroki), mankiety po 15 cent. długie i kieszenie. Spódnicę niesięgającą do ziemi zdobi szerokie plisowanie z nagłówkiem.

N. 4—5. Pudełko płaskie do chustek od nosa.

Uklejone z grubej tektury, pokrytej cienką warstwą waty i powleczone kolorową materyą. Zwierzchnie przyozdobienie stanowi bufowany atłas i kwadraciki sukienne wycięte w ząbki i wyszyte kolorowym jedwabiem, krzyżykami podług ryc. 5. Zakończenie brzeżne stanowi riusza z atłasowej wstążki, z nagłówkiem z pukielków; na rogach kokardy.

N. 6—7. Stanik z baskiną i z paskiem.

Stanowi całość ze spódnicą suto przybraną, której bryt przedni złożony jest w głębokie fałdy; wzdłuż pleców i na przodach dane przybranie z drobnych zakładek; baskina z tyłu u dołu zebrana jest węższej, pod kokardą z szerokiej wstążki. Przody stanika ukrajane krócej podchodzą pod spódnicę i przyciśnięte są fałdowanym paskiem, 8 cent. szerokim, danym od szwów bocznych stanika; na spięciu paska kokarda z klamerką z konchy perłowej. Kołnierz i mankiety wykończyć podług ryciny 6 i 7.

N. 8—9. Ząbki szydełkowe z mignardisse.

N. 10. Torebka na buciki.

Uszyta z szarego płótna, 34 cent. długa, 20 cent. szeroka, ozdobiona wyszyciem z kolorowej włóczki; brzegi boczne oszyte sznurem.

N. 12—15. Suknia z vêtement.

Odrobiona z materyału gładkiego i w paski; rycina 15 przedstawia w maleńkim formacie krój vêtement, z wypisaniem miar długości i szerokości. Plecy z baskiną podłożoną w pukle dopełnione są prostym brytem, który jak to widać na ryc. 15 z jednego boku przyszyty jest gładko, z drugiego złożony w fałdki podług kropek i krzyżyków poczem zszyty z boczkiem także ufałdowanym. Spódnica zakończona plisowaniem 16 cent. szerokiem, przestębnowanem dwa razy; u dołu vêtement plisowanie 7 cent. szerokie i mocna niciana koronka 9 cent. szeroka. Na ryc. 12 i 13 podaliśmy dwa rodzaje przybrania rękawów, do sukień z dwojakiego materyału.

N. 16. Suknia z paletotem. Krój paletota podług ryc. 21 i 27 w N-rze 19 Tygodnika Mód.

Ubranie przedstawione na ryc. 16 składa się z sukni z vêtement i paletocika, z przodu 70, z tyłu 76 cent. długiego, który bardzo łatwo dopasować podług powyżej wskazanego kroju. Vêtement formą princesse z przodu zupełnie gładkie, z tyłu podpięte w kilka fałd, na które trzeba przy krajaniu naddać materyału na długość. Za materyał na to ubranie służy cienkie szare płótno; przyozdobienie stanowią 5 cent. szerokie szlaki, wyszyte kolorową bawełną i takież falbany 13 cent. szerokie; przy sukni plisowanie 9 i 5 cent. szerokie i falbanka 7 cent. szeroka.

N. 17—19. Fotel do altany ogrodowej.

Fotel z drzewa jasno politurowanego ma wysłanie pokryte szarym materyałem i ozdobione pasem haftowanym włóczką angielską; kolory włóczki wypisane są pod deseniem podanym na ryc. 19; rycina 18 podaje deseń wązkiego brzeżnego szlaczka, takiż szlaczek dany wzdłuż pasów stanowiących poręcze. U dołu siedzenia dana frendzla i gruby sznur.

N. 20. Koronka irlandzka naśladująca koronkę wenecką.

Wzór koronki irlandzkiej przedstawiony na ryc. 20, naśladuje deseniem kosztowne weneckie koronki, ozdobiony jest z cienkiej gładkiej tasiemeczki i nici koronkowych.

N. 21. Kapelusz z rondem podniesionem z boku.

Czarny bastowy kapelusz ma główkę opasaną czarnym jedwabnym repsem, złożonym w fałdy. Z boku przypięta kitka ze strusich piórek; rondko podpięte bukietem kwiatów.

N. 22—23. Suknia princesse dla panienki lat 11—14. Odpowiedni krój patrz ryc. 1 w N-rze 17 i rycina 23 w N-rze 18 Tyg. Mód.

Ryciny 22 i 23 przedstawiają przód i plecy sukni z batystu lub oksfordu, którą dopasować można podług powyżej wskazanego kroju. Strojny model z białego batystu, ryc. 22 ozdobiony dwoma plisowanemi falbankami po 10 cent. szerokiemi, które zamiast nagłówków mają dodane haftowane marszczone falbanki. Wzdłuż przodów dany plastron z bufek i pasów wszywki naprzemian, z brzegów zakończony falbanką 8 cent. szeroką, która otacza i kwadratowy wykrój szyi; wzdłuż boczków jak to widać na ryc. 23 dane patki 42 cent. długie, 5 szerokie, zakończone u góry i u dołu kokardami z kolorowej wstążki. Rycina 23 przedstawia suknię z oksfordu w kolorowe prążki, zdobną plisowaniem 10 cent. szerokiem, ciemnemi plisami 4 cent. szerokiemi, i takiemiż wypustkami; guziczki okrągłe.

N. 24—27. Mankiet robiony na drutach i szydełkiem.

Materyał: Bawełna estramadura N. 7, nici na szpulkach N. 80, druty dwojakiej grubości odpowiedniej do bawełny i nici.

Podobne mankietki jako dogodne i niegniecące się, chętnie noszą do domowego ubrania, damy w starszym wieku. Mankiet robi się z bawełny a nici służą na falbanki koło ręki; robotę zaczyna się na 4-rech drutach na o. 92 i obrabia zawsze w koło razy 40—50. Potem następuje pasek środkowy odrobiony podług ryc. 24 i próbki ryc. 27, przyczem w pasku środkowym gładkim gubi się po 1 o. na każdym drucie. Górna część mankieta licząca o. 88 obrabia się także razy 40—50, i zakończa takim paskiem na ryc. 26, na której także wskazany jest sposób nabierania o. do roboty falbanki, nb. przy obrabianiu paska z rzędów gładkich i krętych, gubi się 8 o. w pasku gładkim i 8 w pierwszem obrobieniu ażurowem tak iż pozostaje tylko o. 72. Falbanę zaczyna się 20 obrobieniami gładkiemi przybierając w trzeciem obrobieniu, w równych odstępach o. 6, ażeby mieć o. 78, potrzebne na 13 rurek, z których każda zaczyna się na o. 6. Ryc. 25 pokazuje gładko rozłożoną część falbanki, którą robi się z nici cienkich na cienkich drutach, w dalszem ciągu po 20 gł. obrobieniach. Sześć początkowych rzędów obrabia się ciągle na przemian, 2 o. kręt. 6 o. gład.; w siódmem obrobieniu zawsze 2 o. kręt. 2 gł. 1 o. przybrać, 2 gład. 2 kręto. Obrobienie 8 i wszystkie następujące obrobienia parzyste gładko; w nieparzystych przybierać w sposób wskązany na próbce po dwa o. w ten sposób ażeby w środkowych o. gładkich powiększała się stopniowo liczba do o. 13, a po 20 gładkiem obrobieniu zakończyć falbankę. Drugą na wierzch zachodzącą falbankę, liczącą tylko rurek 12, robi się na o. 72, nabranych w miejscu wskazanem na ryc. 26. Obiedwie fal-



N. 1—4. Ubrania spacerowe.

N. 1. Ubranie dla dziewczynki lat 2—4. zob. 26 i 27. Krój N. VI, Fig. 28.

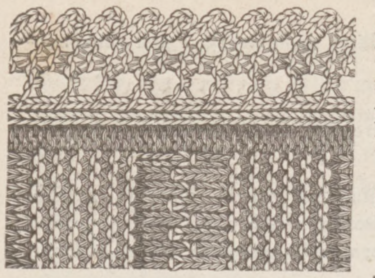
N. 3. Ubranie z vêtement paltotowem, przód. Zob. plecy N. 4. Krój N. IX, Fig. 50—55-a.

N. 2. Sukienka fałdowana z pleckami z baskiną dla panienki od 9—11 lat. Kr. na dod. z for. N. XIII Fig. 50—55-a.

N. 4. Ubranie z vêtement paltotowem, plecy. Zob. N. 3. Krój IX, F. 32—38.

banki zakończa się szlaczkiem szydełkowym robionym z bawełny, podług próbki podanej na ryc. 25.

N. 28 i 31. Dwa szlaczki.



N. 11. Próbka tła i szlaczku do ryciny N. 10.

N.29. Ubranko z koronki i wstążki.

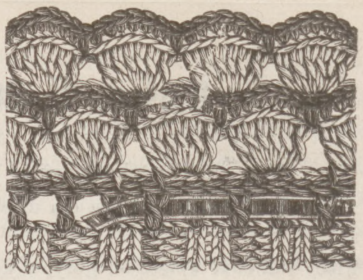
Trójkąt sztywnego tiulu 15 cent. długi a 6 cent. w środku szeroki, oszyty drucikiem i objęty wstążką, stanowi podstawę ubranka upiętego z wstążki serge granatowej w dwóch cieniach. 6 cent. szerokiej i z koronki 7 cent. szerokiej (100 cent. długiej) która zszywa się z sobą i układa podług ryciny. Dwa końce po 70 cent. długie spuszczone są z tyłu.

N. 30. Czepeczek muślinowy.

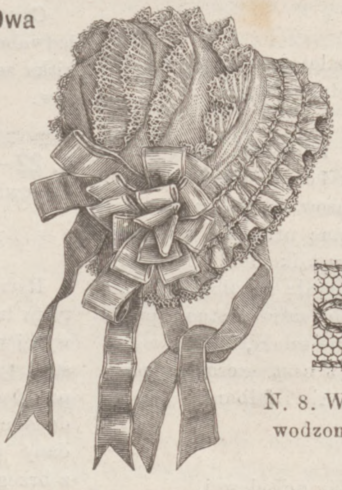
Na denko negliżyka zbliżonego formą do czapeczki dziecinnej potrzeba 26 cent. długiego kwadratu muślinu wziętego skośnie; kwadrat ten z brzegu przedniego jest zaokrąglony na 3 cent., a z boków ścina się skośnie do 22 cent. dolnej szerokości, stanowiącej tylny brzeg czepeczka, wszyty w 2 cent. szeroki pasek sztywnego tiulu, pokryty muslinem; takiż pasek 28 cent. długi, w środku złożony w ząb, przyszyty prosto do brzegów tylnego paska stanowi podstawę pod przybranie przednie. Denko z obu boków zakłada się w sześć fałdek, od przodu zostawia gładko i przyszywa do paska. Przybranie stanowi koronka 5 cent. szeroka, zwrócona brzegami do siebie, którą przyszywa się podług ryc. 30 i przepina w środku rozetą z wstążki blado-niebieskiej. Karczek złożony z muślinowego plisowania, oszytego koronką, nad którem dana riusza z siepanej materyi. Końce z wstążki 6 $1/2$ cent. szerokiej.



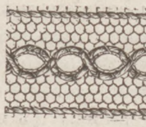
N. 5. Koronka szydełkowa z tasiemeczką w ząbki.



N. 12. Próbka ściegu szydełkowego do ryciny 13.



N. 6. Biały batystowy kapelusik dla dziewczynki.



N. 8. Wstawka wywodzona na tiulu.



N. 7. Biały batystowy kapelusik dla chłopczyka.



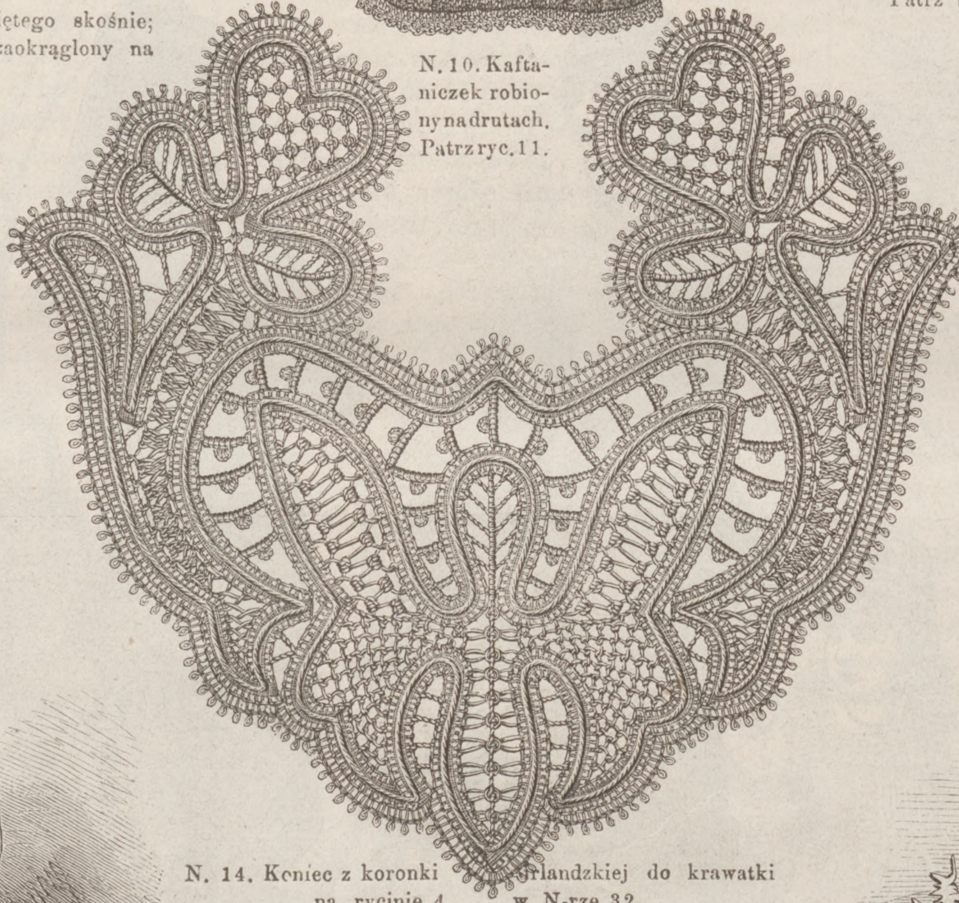
N. 9. Skarpetka płócienna. Krój N. XIV, Fig. 56—58.



N. 10. Kaftaniczek robiony na drutach. Patrz ryc. 11.



N. 13. Bucik dziecinny robiony na drutach i szydełkiem. Patrz ryc. 12.



N. 14. Koniec z koronki irlandzkiej do krawatki na rycinie 4 w N-rze 32.



N. 15. Wałek pod głowę ozdobiony pasami wyszytemi ściegiem krzyżykowym. Zob. ryc. 10 w N. 32.

N. 32—33. Uczesanie głowy, kreza muślinowa i naszyjnik.

Rycina 32 i 33 przedstawia z przodu i z tyłu ładne uczesanie, w którem młodej osobie może być bardzo do twarzy. Włosy z przodu rozdzielone są na środku a z tyłu poprzecznie; od twarzy odczesane są na lekkich krepinach, przypięte mocno do tyłu a pozostałe końce przewinięte bez plecenia i podpięte wysoko grzebieniem. Część włosów pozostała z tyłu jest lekko spleciona w warkocz, przewiązany u dołu kokardą; w razie potrzeby można dodać splot oddzielny, ażeby warkocz był grubszy. Kreza muślinowa uplisowana jest drobniutko z kawałka muślinu 11 cent. szerokiego, oszytego z brzegów wązką koroneczką, który w odstępie 3 cent. od góry przeszyty jest pasem pięknie haftowanej wszywki. Na rycinie 33 widzimy piękny modny naszyjnik ze szlifowanych gwiazdek clair de lune, idących trzema rzędami i zakończanych podłużnemi grelotkami.

N. 34—35. Wyszycie na kanwie, na pantofle, woreczki i t. p.

N. 36 i 11. Fartuszek ogrodowy, dla młodej panienki.

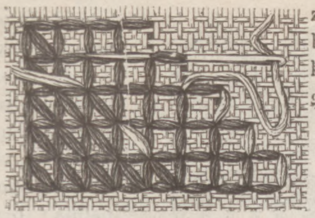
Rycina 11 załącza w maleńkim formacie wskazanie kroju fartuszka z napierśnikiem, który polecamy szczególniej mieszkankom wsi, jako bardzo praktyczne do ogrodu, dla osób lubiących zajmować się kwiatami. Bryt przedni (litera *a*) kraje się w jednym ciągu



N. 16. Ubranie spacerowe i paltocik dla młodej panienki. Zob. N. 17 i 32. Krój N. I i II, Fig. 1—12-a.



N. 17. Ubranie dla młodej osoby. Ryc. 16 przedstawia ubranie dopełnione paltocikiem. Krój N. I, Fig. 1—8



N. 18. Wykonanie ściegu na dwie strony w rzędach skośnych do ryciny 28.

z napierśnikiem i łączy z bokami *b* szwem od dwukropka do gwiazdki. Brzegi fartuszka podszywają się perkalową listewką daną od spodu i ozdabiają ząbeczkami i szerokim haftem ściegiem krzyżykowym, bawełną szafirową i ponsową. Fartuszek zapina się z tyłu na guziczki i pentelki; na ramionach przyszyte końce zkrzyżowane z tyłu i związane z boku utrzymują napierśnik.



20. Kieszeń na bieliznę nocną. Haft ściegiem luźnym wywodzenie na tiulu. Patrz r. 21. Deseń na ark. F. 59.



N. 22. Woreczek na brudne drobiazgi. Deseń na dodat. Fig. 59. Patrz ryc. 20 i 21.



N. 21. Próbka deseniu na tiulu do ryc. 20 i 22.

N. 37 i ryc. 15 w N-rze 29. Ubranie wizytowe.

Strojna suknia z białej alepiny, z tuniką upiętą z przodu na kształt chusteczki trójkątnej, z tyłu dopełnioną prostym brytem podpiętym z boków, ze stanikiem z baskiną zapiętym skośnie, ozdobiona jest koronkową riuszą, przedstawioną w połowie naturalnej wielkości na rycinie 15 w N-rze 29. Koronkę zszytą brzegami do środka układa się w równych odstępach w kontrafałdy, przedzielane gałązkami haftowanych kwiatów. Dla ułatwienia wykonania haftu i dla umocnienia riusza pod gładkie odstępy gdzie mają być odrobione gałązki podkłada się kawałki sztywnego tiulu; kwiaty wyhafowane są ściegiem płaskim włóczką cieniutką w kolorach odpowiednich do kwiatów jakie się odrabia. Pozostały z brzegów tiul wycina się po skończeniu haftu.



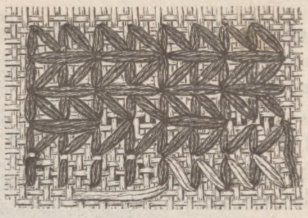
N. 25. Spódnica pod suknię z długim pasem. Krój pasa długiego podług ryc. 20 w N. 5 Tygodnika.

N. 38. Sukieneczka dla dziecka lat 1—2.

Uszyta z kolorowej weby, płótna lub batystu, złożona z bluzki i spódniczki, ozdobiona jest haftowanemi ząbkami i przewiązana szarfą jedwabną lub z tego samego materyału.

N. 39. Sukieneczka i fartuszek bluzkowy dla małej dziewczynki.

Sukieneczka z kolorowego batystu, oszyta haftowaną falbaneczką, przysłonięta jest bluzkowym fartuszkiem z długiemi rękawkami, który szyje się z materyału dobrego do prania i jest bardzo praktycznym dla dzieci. Składa się z zupełnie prostych brytów, po 42 cent. długich a 126 szerokich; z boków na szwach u góry wycięte są pachy, 8 cent. długie a 5 szerokie; brzegi fartuszka z przodu i z tyłu marszczą się na oddzielne nitki i wszywają w paseczki $2 \frac{1}{2}$ cent. szerokie; ramiączka stanowią paski po 6 cent. długie; rękawy wszyte są w okrągłe paski zakończone falbaneczką. Fartuszek przyciśnięty paskiem, 4 cent. szerokim, zapiętym z tyłu na guziczek.



N. 19. Wykonanie ściegu na dwie strony w rzędach prostych do ryc. 28.



N. 23. Woreczek do robót ozdobiony haftem sznureczkowym i łańcuszkowym. Krój i deseń N. VIII, Fig. 30.



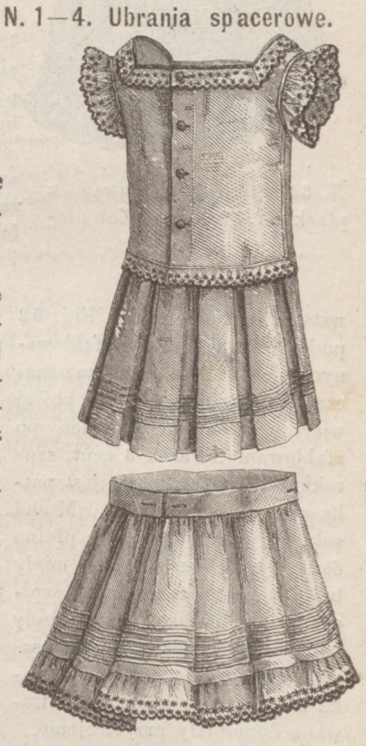
N. 24. Ubranie na głowę na koncert lub do teatru upięte z chustki koronkowej.

Opis do N. 31.

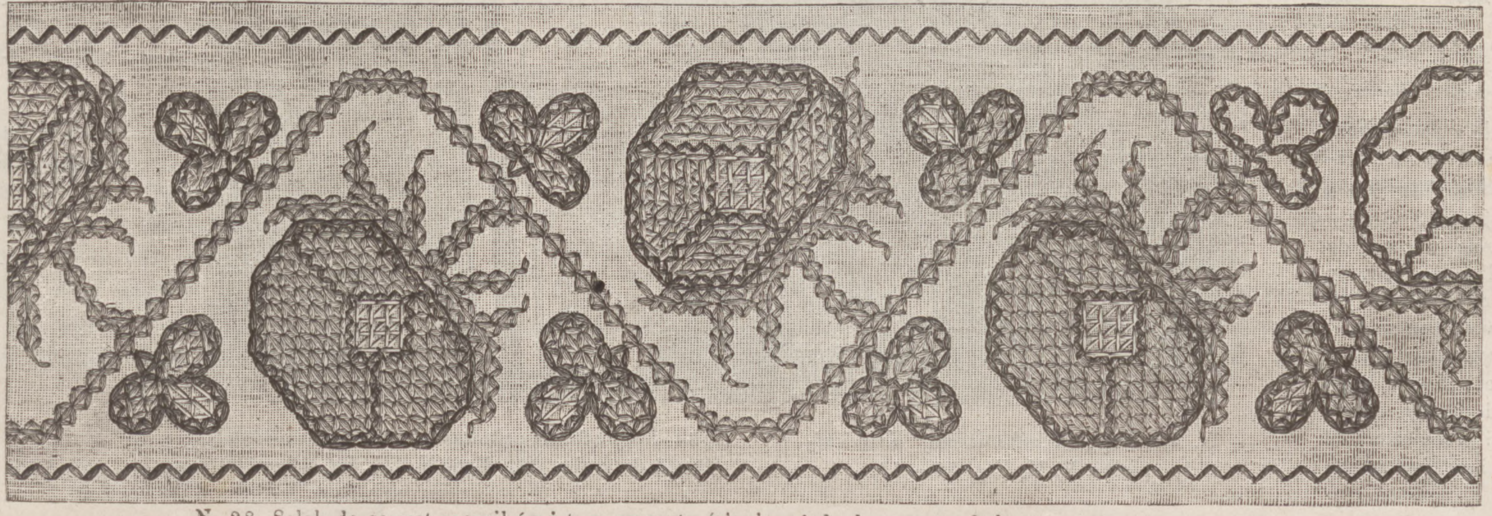
N. 1—4. Ubrania spacerowe.

N. 1, 26 i 27. Ubranie dla dziewczynki lat 2—4. Krój N. VI, Fig. 28.

Ładne letnie ubranie złożone z długiego stanika, spódniczki fałdowanej i spodniej dłuższej spódniczki garnirowanej, odrobione było na modelu z białego batystu i ozdobione haftem robionem bawełną szafirową. Stanik zapina się z tyłu na guziki; krótkie rękawki stanowi falbanka 4 cent. szeroka a 35 długa, ozdobiona szlaczkiem szafirowym $1 \frac{1}{2}$ cent. szerokim. Spódniczka mająca 200 cent. obwodu a 20 długości, w koło ułożona jest w kontrafałdy 4 cent. szerokie i przyszyta od spodu do stanika, zakończonego falbanką i pliską stębnowaną; ozdobę spódniczki stanowi obrąb 5 cent. szeroki i kilka wązkich zakładek, na które trzeba dodać materyału przy krajaniu. Z przodu wzdłuż stanika i spódniczki naszyty jest garnirunek $7 \frac{1}{2}$ cent. szeroki ułożony w drobne jedna na drugą zachodzące zakładki, z boków zakończone haftowanemi szlaczkami. Spódniczka wyglądająca z pod sukienki ma 24 cent. długości a 120 — 130 obwodu, u dołu przyszyta pod listewką 2 cent. szeroką, 5 cent. szeroka haftowana falbanka, w górze spódniczka jest drobno przymarszczona wszyta w pa-

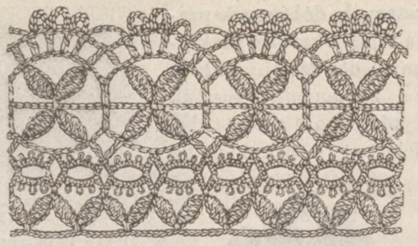


N. 26—27. Stanik ze spódniczką i garnirowana dłuższa spódniczka do ryc. 1. Krój N. VI, Fig. 28.

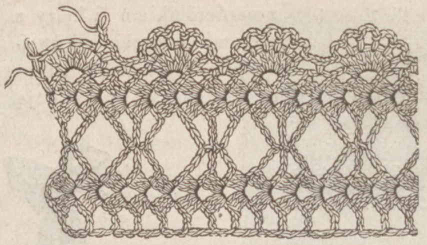


N. 28. Szlak do serwet ręczników i t. p. wyszyty ściegiem jednakowym na dwie strony do ryc. 18—19.

sek $3^1/_2$ cent. szeroki, w którym obrobione są dziurki do przypinania do staniczka spodniego.



N. 29. Koroneczka szydełkowa z frywolitkami.



N. 30. Koroneczka szydełkowa robiona poprzecznie.

N. 2 i 31. Sukienka fałdowana z pleckami z baskiną, dla panienki lat 9—11. Krój na dodatku z formami N. XIII, Fig. 50—55-a.

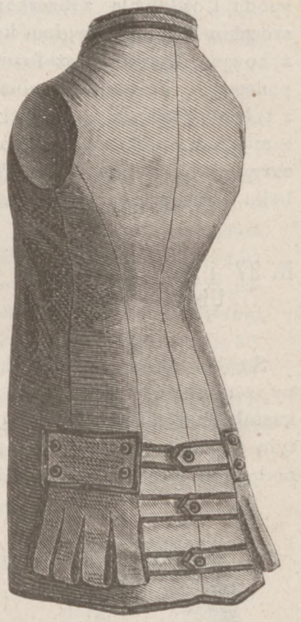


N. 31. Sukienka fałdowana z pleckami z baskiną. Zob plecy na ryc. 2.

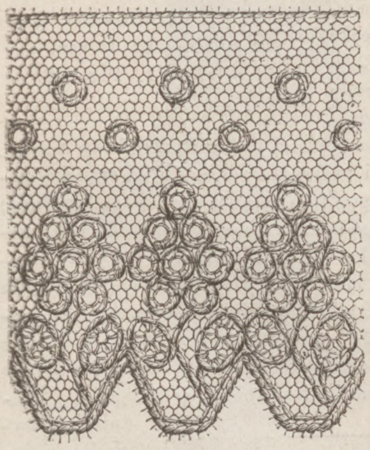
Zarówno wszelkie materyały do prania jak i lekkie wełniane, użyte być mogą na taką sukienkę; garnirunek zaś stanowią szlaczki haftowane lub koronka, plisy z tego co sukienka materyału i wypustki odmienne. Przy krajaniu przodów podług Fig. 50, do lewej pod spód zachodzącej połowy, dodaje się na 1-ną kontrafałdę 8 cent., do prawej zwierzchniej połowy na 2 kontrafałdy cent. 16. Sukienkę zapina się niewidocznie na guziczki, pod fałdą środkową. Do boczków Fig. 51, dodaje się w krajaniu całą tylną szerokość spódniczki, którą w górze układa się w fałdki, wszywa w listewkę i przyczepia od spodu wstanie pod pleckami. Fig. 52 podaje formę połowy fałdowanych pleców, cienka linijka oznacza gładką podszewkę, do której wierzch pasować powinien po zfałdowaniu. Pasek 3 cent. szeroki, z tyłu zakończony jest patką zapinaną na guziki. Model sukienki odrobiony był z płótna écru, 2 cent. szerokie plisy miały białe wypustki także plisy szpiczasto zakończone naszyte były na przednich fałdach; luźno puszczonych od dołu. Biała koronka lub szlaczki kolorowo haftowane dopełniały przystrojenie.



N. 33. Negliż z odciętemi plecami. Zob. przód ryc. 34. Krój N. III, Fig. 13—15.



N. 32. Paltocik bez rękawów. Zob. przód na rycinie 16. Krój N. II, fig. 9—13



N. 36. Koronka wywodzona na tiulu.

N. 3—4. Ubranie z paltotowem vêtement. Krój na dodatku z formami N. IX, Fig. 32—38.

Bardzo dogodne ubranie do wód z rana albo do podróży przedstawia z przodu i z tyłu ryc 3 i 4. Przody vêtement zapinane na dwa rzędy guzików, są luźne, bez zaszewek, plecy z długą baskiną wcięte do figury. Przód i boczek przedni przedłużony od dołu podług miary podanej na zmniejszonem rysunku Fig. 32-a, kraje się razem; tylną szerokość vêtement dopełnia bryt przykrojony podług Fig. 37. Plecy z boczkiem zeszywa się od *E* do *F*, następnie boczki od pleców i od przodu łączą się ze sobą od *C* do : i od : do D dalej baskina zachodzi luźno na boczek; następnie dół i boczne brzegi vêtement podszywa się skośną listewką, te ostatnie przymarszczą się do 80 cent. górne od : przypuszczone brzegi zakłada się pod baskinę 17 cent. gładko jeden na drugi i wszywa w wązki pasek razem z górnym brzegiem tylnego bryta, przyfałdowanym do 15 cent. Brzegi tego bryta podszywa się listewką, potem bok dłuższy fałduje się do 106, krótszy do 80 cent. i układa wązko w sposób na ryc. 4 wskazany; nakoniec przyczepia się po przymierzeniu, do przodów, tak ażeby bok dłuższy wystawał na 26 cent. Prócz tego brzegi przodów wiążą się od spodu na tasiemki.

Trochę przewłóczystą spódnicę kraje się podług miar podanych na Fig. 38, skośne brzegi tylnych brytów *C* zeszywają się ze sobą w środku, a w miejscu oznaczonem linijkami, podszywa się listewkę do ściągania.

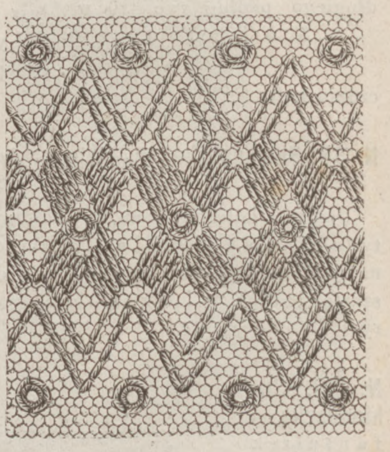
Ryc. 3 przedstawia ubranie z płótna écru; spódnica oszyta jest marszczoną, 10 cent. szeroką falbaną i równie szeroką przez środek przemarszczoną wodą. Plisa u dołu vêtement, kołnierz, mankiety i kieszonka, są z płótna szafirowego z jasnemi wypustkami i stębnówką. Na ryc. 4, widziemy ubranie z orzechowego beżu, ozdobione jedynie kilku rzędami stębnówki, odrobionej jedwabiem tego samego koloru, która dawana w równych odstępach, stanowi na spódnicy szlak 30 cent. szeroki.

(*D. c. n.*).



N. 35. Negliż z kaftanikiem. Krój kaftanika N. X, Fig. 39—42.

N. 34. Negliż formą princesse z odcinanemi plecami. Przód do ryciny 33. Krój N. III, fig. 13—15.



N. 37. Wszywka wywodzona na tiulu.

TYGODNIK MÓD

w Warszawie 1878 r.

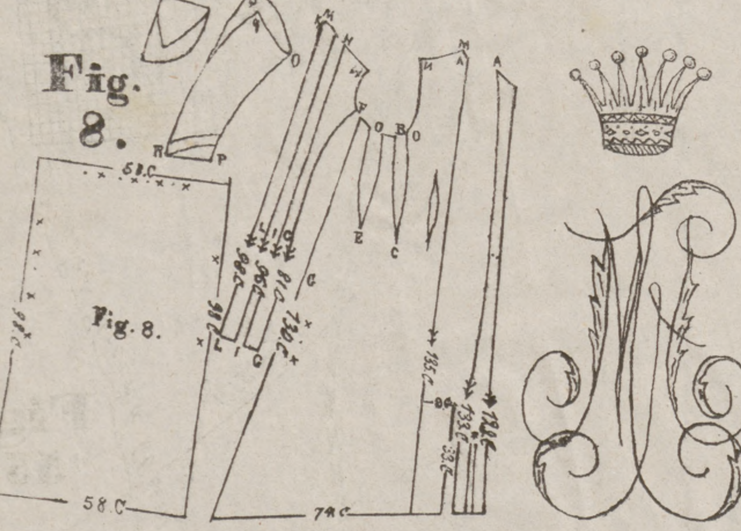
Dodatek z krojami i deseniami do N. 31 i 32.

N. I. Vêtement do ryc. 16—17 w N. 31 Fig. 1—8.

Miara połowy górnej objętości stanu 44 w pasie 31 cent.

Fig. 1. Pierwsza część przodu (B, *) jedno załamanie formy.
Fig. 2. Druga część przodu razem z boczkami do przodu i pleców (A, B, C, D, E, F, G, M, N, O, jedno załamanie formy).
Fig. 3. Pierwsza część pleców (F, G, H, I, N).
Fig. 4. Druga część pleców (H, I, K, L, M).
Fig. 5. Rękaw (O, P, Q, R).
Fig. 6. Połowa mankieta (P, R).
Fig. 7. Kieszonka.
Fig. 8. Zmniejszony rysunek i miary bryta dopełniającego plecy.
Fig. 1-a—7-a. Zmniejszony rysunek zestawionych części vêtement Fig. 1—7.

Fig. 8.



N. II. Paletocik bez rękawów ryc. 32 w N. 31, pasujący do sukni ryc. 16.

Fig. 9. Przód (S, W, X, Z).
Fig. 10. Boczek (S, T, U, V).
Fig. 11. Plecy (U, V, W, X, Y, jedno załamanie).
Fig. 12. Kołnierz (Y, Z).
Fig. 9-a—12-b. Zmniejszony rysunek paletocika.

N. III. Ubranie ranne z plecami odcinanemi z baskiną. Ryc. 33—34 w N. 31.

Fig. 15.

Fig. 13a-14a

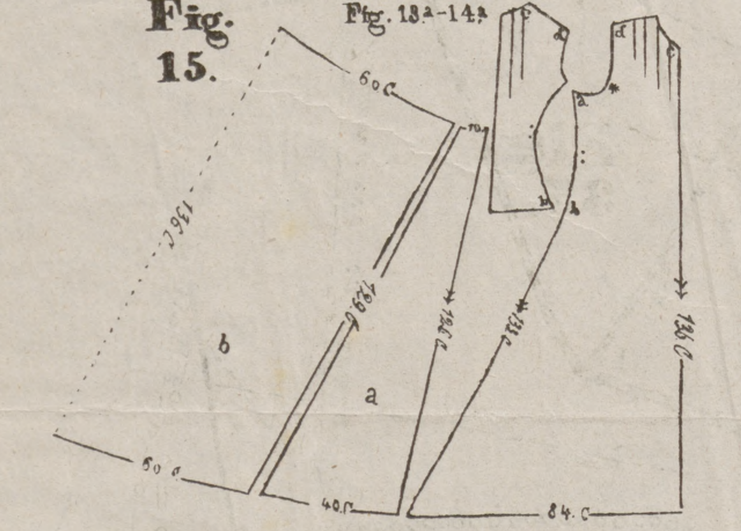
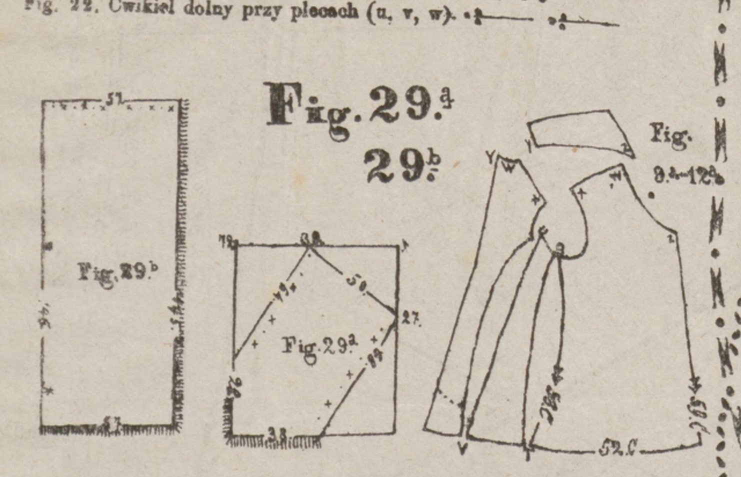


Fig. 13. Przodek (a, c, d, :, ,).
Fig. 14. Plecy (a, b, c, d, :).
Rękaw podług Fig. 5.
Fig. 15. Zmniejszony rysunek i miara brytów dopełniających plecy.
Fig. 13-a—14-a. Zmniejszony rysunek Fig. 13—14 zestawionych z Fig. 15.

N. IV. Gorset zapinany na guziki. Ryc. 30 w N. 31.

Fig. 16. Przód (e, f, g, h, i, k, l, m, n, o, p, q, r, s).
Fig. 17. Pierwszy ćwikiel górny (e, f, g).
Fig. 18. Drugi ćwikiel (h, i, k).
Fig. 19. Pierwszy ćwikiel na biodrach (l, m, n, o).
Fig. 20. Drugi ćwikiel na biodrach (p, q, r, t).
Fig. 21. Plecy (s, t, u, v, w).
Fig. 22. Ćwikiel dolny przy plecach (u, v, w).

Fig. 29a. Fig. 29b.



N. V. Bluzka dla dziewczynki lat 6—8. Ryc. 11 w N. 32.

Fig. 23. Przodek (1, 2, 3, 4, 5, 10, *).
Fig. 24. Połowa pleców (1, 2, 3, 4, 9, :).
Fig. 25. Rękaw (5, 6, 7, 8).
Fig. 26. Połowa mankieta (6, 8).
Fig. 27. Połowa kołnierza marynarskiego (9, 10).

N. VI. Stanik do sukienki dla dziewczynki lat 2—4 ryc. 1, 26—27 w N. 31.



Fig. 30.

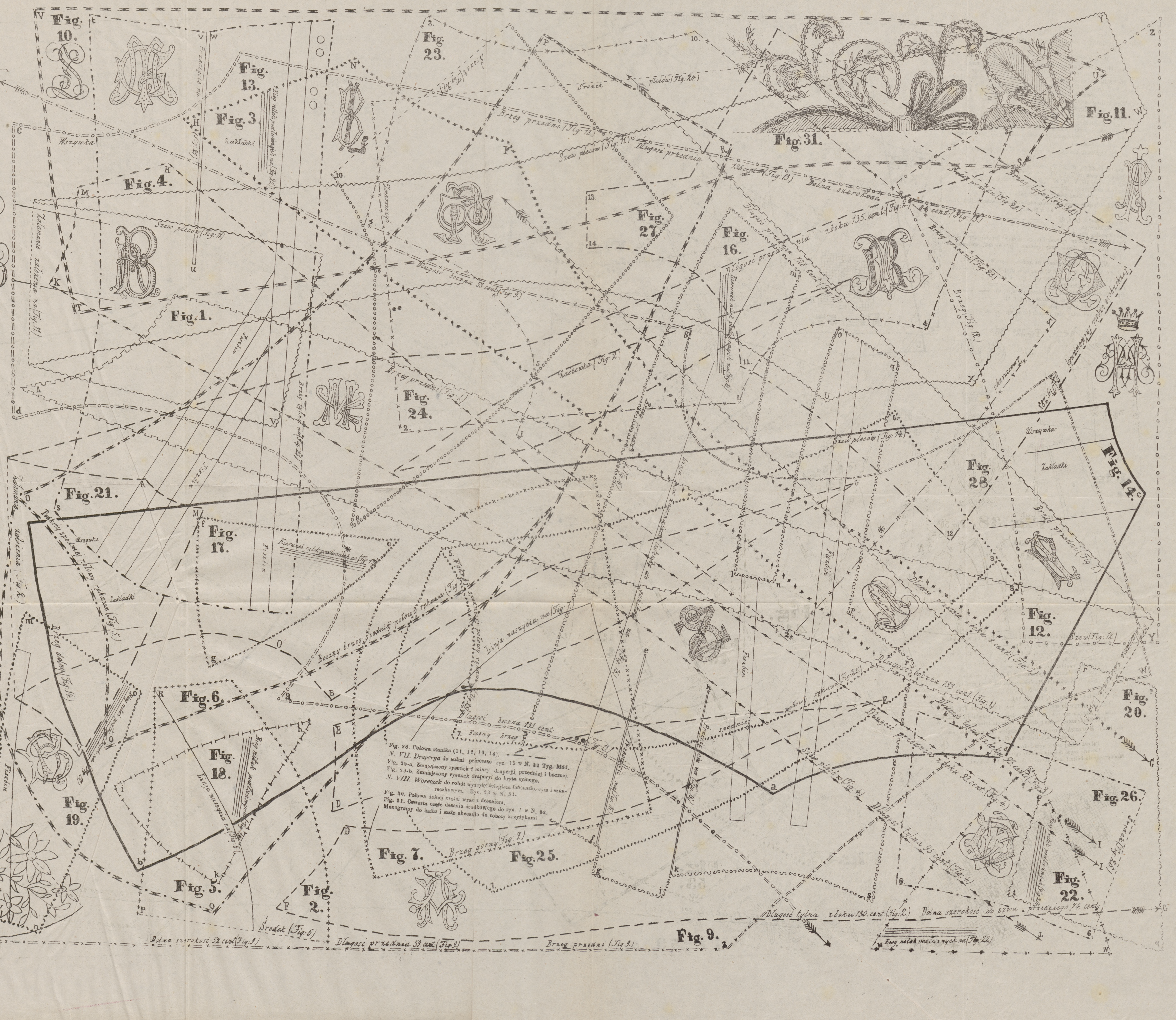


Fig. 28. Połowa stanika (11, 12, 13, 14).

N. VII. Draperya do sukni princesse ryc. 15 w N. 32 Tyg. Mód.

Fig. 29-a. Zmniejszony rysunek i miary draperyi przedniej i bocznej.
Fig. 29-b. Zmniejszony rysunek draperyi do bryta tylnego.

N. VIII. Woreczek do robót wyszyty ściegiem łańcuszkowym i sznureczkowym. Ryc. 23 w N. 31.

Fig. 30. Połowa dolnej części wraz z deseniem.
Fig. 31. Czwarta część desenia środkowego do ryc. 1 w N. 32.
Monogramy do haftu i małe abecadło do roboty krzyżykami

Dodatek z krojami i deseniami do N. 31 i 32.

N. I. Vêtement do ryc. 16—17 w N. 31 Fig. 1—8.

Miara połowy górnej objętości stanu 44 w pasie 31 cent.

Fig. 32. Pierwsza część przodu (B, *) jedno załamanie formy.

Fig. 33. Druga część przodu razem z boczkami do przodu i pleców (A, B, C, D, E, F, G, M, N, O, jedno załamanie formy).

Fig. 34. Pierwsza część pleców (F, G, H, I, N).

Fig. 35. Druga część pleców (H, I, K, L, M).

Fig. 36. Rękaw (O, P, Q, R).

Fig. 37. Połowa mankieta (P, R).

Fig. 38. Kieszonka.

Fig. 39. Zmniejszony rysunek i miary bryta dopełniającego plecy.

Fig. 1-a—7-a. Zmniejszony rysunek zestawionych części vêtement Fig. 1—7.

N. II. Paletocik bez rękawów ryc. 32 w N. 31, pasujący do sukni ryc. 16.

Fig. 40. Przód (S, W X, Z).

Fig. 41. Boczek (S, T, U, V).

Fig. 42. Plecy (U, V, W, X' Y, jedno załamanie).

Fig. 43. Kołnierz (Y, Z).

Fig. 9-a—12-b. Zmniejszony rysunek paletocika.

N. III. Ubranie ranne z plecami odcinanemi z baskiną. Ryc. 33—34 w N. 31.

Fig. 44. Przodek (a, c, d, : ,).

Fig. 45 Plecy (a, b, c, d, :).

Rękaw podług Fig. 5.

Fig. 46. Zmniejszony rysunek i miara brytów dopełniających plecy.

Fig. 13-a—14-a. Zmniejszony rysunek Fig. 13—14, zestawionych z Fig. 15. * * * * *

N. IV. Gorset zapinany na guziki. Ryc. 30 w N. 31.

Fig. 47. Przód (e, f, g, h, i, k, l, m, n, o, p, q, r, s). + · + · + ·

Fig. 48. Pierwszy ćwikiel górny (e, f, g).

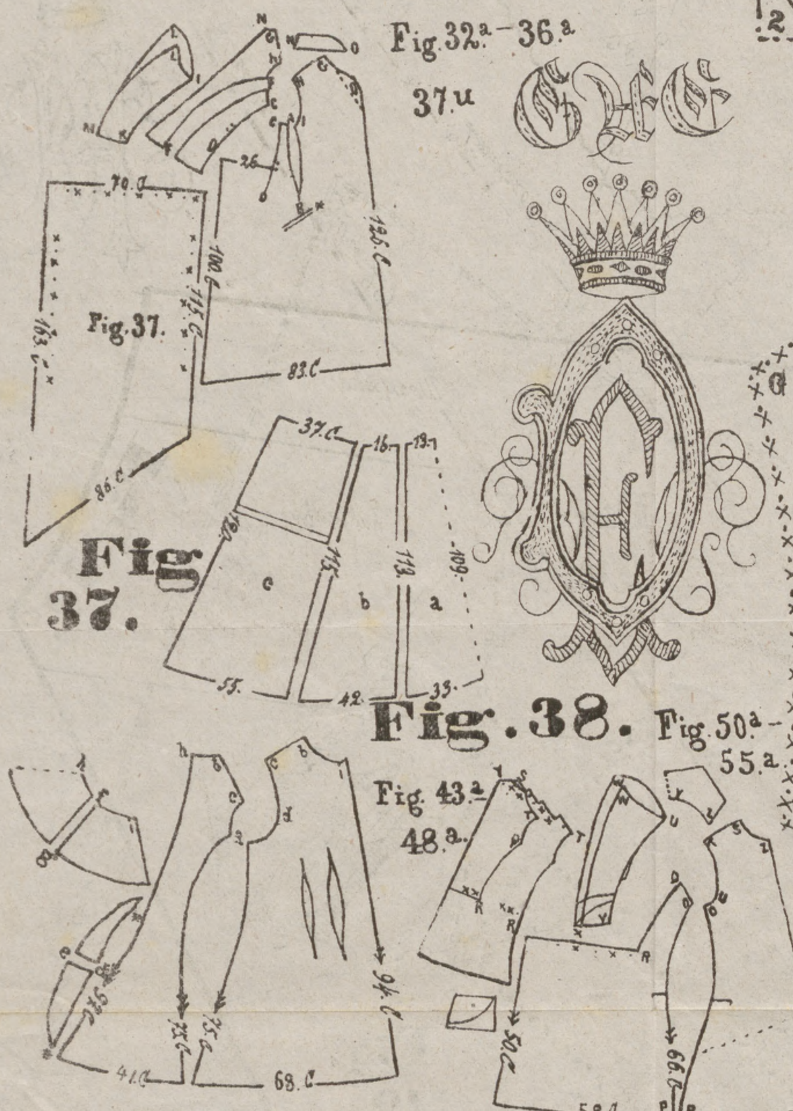
Fig. 49. Drugi ćwikiel (h, i, k).

Fig. 50. Pierwszy ćwikiel na biodrach (l, m, n, o).

Fig. 51. Drugi ćwikiel na biodrach (p, q, r, t).

Fig. 52. Plecy (s, t, u, v, w).

Fig. 53. Ćwikiel dolny przy plecach (u, v, w).



N. V. Bluzka dla dziewczynki lat 6—8. Ryc. 11 w N. 32.

Fig. 54. Przodek (1, 2, 3, 4, 5, 10, *). — × — × — ×

Fig. 55. Połowa pleców (1, 2, 3, 4, 9, :). — * — * — *

Fig. 56. Rękaw (5, 6, 7, 8).

Fig. 57. Połowa mankieta (6, 8).

Fig. 58. Połowa kołnierza marynarskiego (9, 10). + + + +

N. VI. Stanik do sukienki dla dziewczynki lat 2—4 ryc. 1, 26—27 w N. 31.

Fig. 59. Połowa stanika (11, 12, 13, 14).

N. VII. Draperya do sukni princesse ryc. 15 w N. 32 Tyg. Mód.

Fig. 60.-a. Zmniejszony rysunek i miary draperyi przedniej i bocznej.

Fig. 61. b. Zmniejszony rysunek draperyi do bryta tylnego.

N. VIII. Woreczek do robót wyszyty ściegiem łańcuszkowym i sznureczkowym. Ryc. 23 w N. 31.

Połowa dolnej części wraz z deseniem.

Czwarta część deseniu środkowego do ryc. 7 w N. 32.

Monogramy do haftu i małe abecadło do roboty krzyżykami.

